

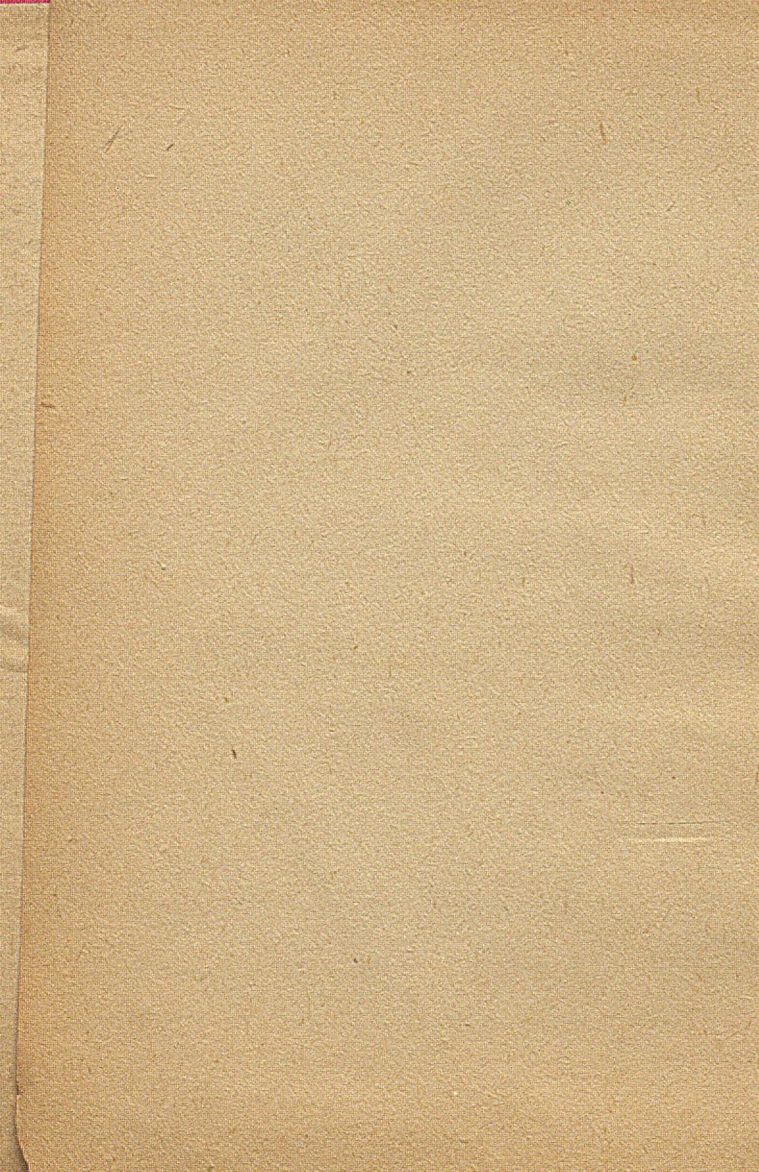


W. RAPACKI

HANZA



BIBLIOTEKA DOMU POLKIEGO





WINCENTY RAPACKI

HANZA

Grodzisz 8.5.1949

Stachowi
Dariusz



WINCEN'TY RAPACKI

HANZA

POWIEŚĆ z XVI WIEKU

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
1928

*Okładkę projektował art. - mal. Henryk Nowina - Czerny
Tłoczono w Zakładach Graficznych
B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie.*



150 958

D492/19

I

DRANG NACH OSTEN.

O dwieczne bory Oświęcima i Zatora patrzyły zdumione.

Dziwiły się zwierzęta i ptactwo dzikie.

Kmieć patrzył pochmurnie i kiwał głową, jak dziś na przebiegającą lokomotywę.

A była to jakgdyby jej zapowiedź.

Przed pięciuset laty pierwszy *kulturkampf* wdarł się do ziem naszych w postaci Hanzy niemieckiej.

A wiecie, czem była Hanza?

Początek jej, jak wogóle każdej instytucji, miał cele humanitarne.

Zawiązała się w stowarzyszenie przed napadem band rozbójniczych.

Miała być propagatorem wolnego handlu na wszystkich punktach świata.

Przez nią miały wejść ludy w sojusz bratni.

Zapomocą jej dróg i kanałów miały płynąć dobrodziejstwa cywilizacji.

W ciągu wieku wyrodziła się.
Na sztandarze swoim wypisała:

GOTT MIT UNS.

Był to polip, który ssął ciało słowiańszczyzny na całej jej przestrzeni.

Ssawki tego potworu poczynały się w północnym Gdańsku, a kończyły u podnóża południowych Karpat; tak jak z drugiej strony brały początek na brzegach Odry, a kończyły się u Wołgi.

I oto patrzcie na tę drogę świeżo wykarczowaną przez bory, patrzcie na zrównane lub poprzecinane pagórki, zasypane doły i wąwozy.

Bieleje trakt bity, a tym traktem, jak długi różnobarwny wąż, coś się porusza i posuwa i świeci i gwarzy.

A butne, a zuchwałe depcze tę ziemię stopą zwycięzcy, stopą pana i władcy.

To Hanza prowadzi swoje towary do Krakowa.

Wyjechała z jednej z głównych swoich faktoryj w Kolonji. Zostawiła ładunek w Frankfurcie, Wejmarze, Norymberdze, Pradze, a z resztą do Krakowa się wlecze.

Jednocześnie, kiedy ich karawana ma się zagłębić suchym traktem w lasy oświęcimskie, druga jej odnoga płynie morzem i przybija do portu Gdańska, trzecia do Rygi, czwarta do Nowogrodu, piąta do Londynu, a szósta do portów skandynawskich — a choć niema telegrafów, jednak wszyscy wiedzą o sobie.

W Hanzie wszystko idzie, jak w zegarku.
Co tu wozów i koni!

Co tu ludzi!

Wozy kute żelazem i ludzie błyszczą od stali.

Każdy wóz ma swojego dozorcę (*Aufseher*) zakutego w żelazo i dwóch konnych knechtów.

A wszystko odziane w niebieską barwę z herbem Hanzy — krzakiem lilji, na której czystość przysięgać trzeba.

Ci ludzie to mnisi.

Pod karą śmierci nie wolno im się żenić.

Celibat to ideał wszystkich stowarzyszeń średniowiecznych.

Każde stowarzyszenie to klasztor.

Mnich to najdoskonalszy wyrób człowieka owych czasów.

We wnętrzu tych wozów, co się wężem wloką po bitej drodze, znajdziesz wszystko, czem żyje społeczność ówczesna.

Cel poządliwości rozbójników wszystkich odieni, począwszy od barona na wysokim zamku, aż do zwyczajnego opryszka, co się w gęstwinie lasu kryje.

Ale kiedy baron stoczyć musi walną bitwę i wyjść z niej zwyciężonym, podłym zbójcom tylko się oblizać skrycie wolno.

Bo z Hanżą nie żartować!

Biła się z królami i zrzuciła ich z tronu.

Jej flaga na morzu i tarcza na lądzie mają pierwszeństwo przed wszystkiemi.

Najdumniejszy pochyła przed niemi głowę.

Przypatrzcie się tej karawanie.

Płynie ona spokojnie, jakgdyby ją skrzydlaci cherubi strzegli.

Każde oblicze oddycha wesołością i swobodą.

Przodem jedzie *ober-furman*, który ją prowadzi, niby konduktor pociąg kolejowy.

On wyznacza stację do popasu.

On utrzymuje karność w załodze. On jest jej głową i opatrnością.

Poza nim siedzi pisarz, którego zowią *buch-firer*.

Jest to postać milcząca i poważna. Człowiek piśmienny znać w owych czasach tyle, co książdz.

Ober-furman, dla innych gromki i surowy, przed nim zniża głos i głowę chyli.

Patrzono z uwielbieniem wielkiem na człowieka, który może badać nieprzystępne rzeczy dla wielu.

Na kolanach dźwiga szkatułę misternie okutą i zamkniętą na kilka zamków, od których klucze wiszą mu na srebrnym łańcuchu i bujają się na piersiach w miarę jak wóz się toczy.

W szkatule spoczywa buchalterja Hanzy i jej korespondencja.

Dźwiga on ten ciężar z godnością, o ile mu znużenie pozwala, bo wkońcu, jak zwykły śmiertelnik, zaczyna drzemać i kiwać się wraz z kluczami, co mu wiszą na szyi.

Obok *ober-furmana*, tłustego i zażywnego Niemca, z grubym karkiem, siedzi młodzian lat osiemnastu, z dziwnie sympatycznym obliczem.

Z niebieskich oczu patrzy mu dobroć i jakaś zaduma głęboka.

Twarz ta różni się wielce od wszystkich współplemienników; najprzód wyrazem dobroduszości i szczerości, a potem i w rysach jej więcej ściągłych, z pięknie wykrojonym profi-

lem, jest coś, co niepodobne do żadnego niemieckiego pucołowatego i pochmurnego oblicza.

Pochyla głowę to w tę, to w ową stronę, jakby słuchał szczebiotu ptasząt, jakgdyby łowił uchem szmery mowy ludzkiej, przesuających się niekiedy kmięci.

Wtenczas trąca go przyjaźnie łokciem stary towarzysz i pyta o przyczynę tej zadumy i wołać każe Tilla Eulenspiegla, aby go rozbawił.

O Till tylko co spletał Niemcom sztukę, za którą wywołał z jednej strony przekleństwo i złorzeczenia, z drugiej śmiech i kilka kułaków oberwał — bo u tych ludzi kułak ma nieraz wartość uścisku lub pieszczoty.

Potrafił on wmówić w jednego z Niemców, że jest ślepy na jedno oko i że wszystkie przedmioty, które widzi z prawej, są właściwie z lewej strony. A miał siłę argumentacji, bo Niemiec, zamiast konia z prawej, okładał batem sąsiada z lewej strony.

Ten Till Eulenspiegel, zwany po polsku Sowizdrzałem, jest duszą całej karawany.

Jest wszędzie i nigdzie.

Przeskakuje, jak wiewiórka, z wozu na wóz po karkach i grzbietach końskich ze zręcznością ekwilibrysty.

Wczoraj jeszcze zabawiał chłopów i mieszczan na kiermaszu w Ostrowie, a przedtem płatał figle na zamku w Frauensztacie, dziś przyczepił się do Hanzy, aby się tanio i wygodnie dostać na jarmark do Krakowa.

Hanza wozila na swoich wozach i podróżnych, czyli jakby się wyrazić po dzisiejszemu: miała swoich pasażerów.

Podróżnik, szanujący siebie i swoje mienie, oddawał się w jej opiekę, a ona ręczyła za jego przejazd, kazawszy sobie dobrze zapłacić.

Dziś dostał się jej pasażer gratisowy, bo błazny i komedjanci, to jest ludzie śmiechu i zabawy, tak przed wiekami, jak i w obecnej naszej dobie, honorowani byli narówni z ptactwem wędrownem: mógł siaść, gdzie mu się podobało, byle świergotał za to wesoło.

Rzucono mu przytem okruch ze stołu.

Błazen ten jest zkolei trzecim „Tillem Eulenspiegłem“, bo prawdziwy, pierwszy, umarł już przed półwiekiem, a że dowcipem swoim i figlami zyskał nieśmiertelną sławę, każdy więc z błaznów brał sobie jego nazwisko, przyznając się do pokrewieństwa, i wdziewał jego barwę, niby szyld, niby reklamę, by najkorzystniej sprzedać swój towar.

Dobra firma już i wtenczas miała swoje znaczenie.

Byli Tillowie podrzędniejsi, którzy się żywili pożyczanym dowcipem od starego, nosili bowiem spisane w książeczce jego figle, ale najczęściej przyłapani na tem złodziejstwie, płacili grzbieciem.

Ter godnie reprezentował starą firmę; mógł być nawet uchodzić za protoplastę nowego gatunku błazna, bo obok figlów i humoru posiadał ciętość satyryka.

Wszystko się z czasem doskonalili.

Było to jednak niebezpieczne rzemiosło, bo trzeba wielkiego znanstwa ludzkiej natury, aby wiedzieć, kiedy właściwie, w jakiej chwili po-

dać gorzką pigułkę; wyrwanie się nie w porę życiem przyplacić można.

Ale zato dobre słówko, rzucone w chwili właściwej, stawało się niby życiodajnym ziarnkiem.

Niewdzięczna przeszłość pograżyła ich w toni niepamięci, niby mszcząc się ran zadanych.

Najszcześniejszym z nich był Stańczyk — bo się znalazł w epoce politycznej, w epoce rozbudzenia umysłów, gdzie ceniono już dowcipne i głębokie słowo.

Ówczesni błażni — to artyści, to poeci!

Trzeba było być i autorem z potężną inwencją, i aktorem z talentem.

Smutne czasy. Najpiękniejsze intelektualne dary kryła czapka błazeńska!

Jakie tam nieraz myśli i idee wirowały w tej głowie ubranej w dzwonki!

Wysoki, chudy, miał małą i okrągłą głowę, nos trochę zadarty, ale kształtny, misternie wykrojony, co prawie zawsze oznacza delikatność uczuć.

W oczach błyszczał rozum, a na ustach igrał uśmiech, ten uśmiech, co to przypomina Cervantesa lub Montesquiego.

Jest godzina piąta z południa.

Ciepły wietrzyk pogodnego maja muszcze drzewa i krzewiny przydrożne.

Słońce sypie złote blaski na całą tę pstrokaciznę ludzi i koni.

Gościniec, tak pracowicie ręką Niemców wykuty, zniża się z gór Morawji.

W głębi na północy sinieją lasy oświęcimskie.

Gwar, śmiechy, przekleństwa — jak w ciżbie ludzkiej.

— Rudolfie, moje dziecko, — rzekł Sowizdrzał do młodzieńca — gdzieś ty podział swoje niebieskie oczy, co tak wesoło patrzyły? Czy ci strach tych borów, które tam przed nami sinieją? To wesoła ziemia dobrych ludzi!

I zanucił piosenkę w języku, który był obcym dla wszystkich:

— Gdziem nie bywał, gdziem nie płynął,
A Krakowa-m nie wyminął:
Bo w Krakowie dobrzy ludzie...

— He? Co? — przerwał mu młodzieniec z wykrzykiem, jakgdyby ze snu przebudzony. Potem, oglądając się trwożnie po towarzyszach, przyciągnął błazna do siebie, popatrzał nań jakgdyby z niedowierzaniem i rzekł półgłosem:

— Ty umiesz... po polsku? Skąd ty umiesz?
Ale również zdziwiony był Sowizdrzał.

— Ach, to i ty umiesz!... a gdzieżeś ty się chował?

— Nad Renem mnie chowano, a rodziłem się w tym Krakowie, za którym tęskniłem całe życie.

— To nie tak dawno było. Ileżeś miał lat, gdy cię wywieźli?

— Mogłem mieć ośm do dziesięciu, ale pamiętam tak wszystko, że cię zaprowadzę, gdzie zechcesz.

— A któż są twoi rodzice?

— Pamiętam tylko matkę...

— Aha! już wiem resztę...

Podczas tej rozmowy Sowizdrzała z Rudolfem ober-furman patrzył się na nich wylupiastemi oczyma, wkońcu spytał buchfirera, który się najspokojniej kiwał, drzemiąc:

— *Was für eine Sprache sprechen die?*

— *Slavisch* — rzekł, poziewając i nie otwierając oczu.

— *Slavisch!* — powtórzył i zadumał się głęboko. Potem wyszeptał:

— *Schon wieder ein Geheimniss der Hanza.*

Popatrzył przytem na młodzieńca, jakby się dzisiaj popatrzył Prusak na nowej konstrukcji działo Kruppa.

On w tym młodzieńcu zwierzył jedno z tajemniczych kółek wielkiej maszyny związku.

Usunął się też od niego na pół łokcia i z boku tylko zerkał nań skrycie, jakby na drogocenny przedmiot.

Postrach we wszystkich swoich podwładnych i tajemniczość — była to jedna z uprzywilejowanych cech tego szanownego ze wszech miar związku.

Wszyscy jej członkowie byli tylko kółkami w dobrze zorganizowanym *werkstacie*, nie wiedząc nic jedno o drugim.

Zdradzenie bowiem jakiegoś planu, jakiegoś zlecenia, karano śmiercią.

Świeżo przyjęty członek musiał wytrzymać mnóstwo prób, równających się torturom, które gdy przebył, mógł się uważać za szczęśliwego, a które wdrażały weń postrach wielki i poszanowanie bez granic.

Nie wolno było pytać, badać, — należało tylko spełniać — milcząc.

Przypomina to inny związek, który powstał w półtora wieku potem.

Tymczasem Sowizdrzał z tajemniczym młodzieńcem prowadzili ożywioną i swobodną rozmowę, bez obawy, aby ich ktoś mógł podsłuchać.

— Toś ty podobny do mnie, bratku, — mówił Till, klepiąc Rudolfa po ramieniu — i ja nie wiem, komu zawdzięczam żywot, a jednak błogosławię tego niewiadomego rodzica, bo mi dał pazury, którymi się jakoś drapać umiem. Poczekajże! takie jak my odpadki powinny żyć w zgodzie i przyjaźni. Biorę cię pod moją opiekę.

— Chętnie przystaję.

— O ile mną wicher szamotać nie zacznie, będę przy tobie, gdy mnie porwie i zanieśe gdzieś na drugi koniec świata, będziesz musiał cierpliwie czekać na mój powrót... A gdzież matka?

— Matka w Krakowie oczekuje mnie tęskna; mam również ojczyzna, którego nie lubię i on mnie nawzajem.

— Oho! zaczyna jajko o kwoczce myśleć; już widzę, że z tym ojczyzmem weźmiemy się w załębki.

— Byłem dzieckiem, kiedy mnie bił, dziś wracam mężem i mam pięści.

— Pięści czasem mało, mój synku. Nauczmy cię, jak lisa w dołek złapać.

— Ech, ja sobie z nim poradzę; ale matki mi żal.

— Żal zaszyjesz sobie w nogawicę, on ci nie ucieknie... Ale szal rozchmurz lice, bo Niemcy

na nas patrzą. Już im za dużo tego polskiego gwarzenia. Nie lubią bestje tego, czego kupić, albo wydrzeć nie mogą.

I podśpiewując rubaszną niemiecką piosenkę, pognął do wozów, gdzie go przyjęto z wielkim zapałem.

Tymczasem karawana wjechała w las.

Dzisiaj las dla podróżnika stanowi niewypowiedziany urok spoczynku i wytchnienia, dawniej przenikał go dreszczem tajemnej trwogi.

Ideąłem siedziby ludzkiej i spoczynku były mury miasta.

Dziwnie się stosunki ułożyły!

Tak jak dawniej do murów ciasnych, tak dziś do przestrzeni i wolnego powietrza ludzie tęsknią.

Wieki średnie to panowanie miast i zamków.

W lesie każdy szmer, każde poruszenie listka szeptało człowiekowi o strachach i wilkołakach, każdy odgłos przywodził na pamięć ukrytych zbójców.

To też pierwszą myślą każdego była myśl bezpieczeństwa, pierwszym ruchem zapewnienie się, czy ma broń. Gdy się o tem przekonał, zrobił znak krzyża i niepewnym krokiem zapuszczał się w gąszcz ciemny.

Słońce jeszcze dosyć wysoko, zanim się skryje, staną na nocleg w Żywcu.

Dniem pociągną przez całą długość księstw Oświęcima i Zatora.

Cisza...

Wszyscy w nią zasłuchani z poszanowaniem pewnem.

Rozmowa umilkła, czasem wyrzeknie się jakieś słówko półgłosem.

I konie, jak i ludzie, są powściągliwe, strzyżą uszami, nie parskają.

Wozy nawet, ciągnięone zwolna a ostrożnie, wydają mniej turkotu; czasem tylko słycać uderzenie o korzeń jakiś lub o kamień.

Wtem furman u pierwszego wozu krzyknął:
Halt!

Ober-furman podskoczył, Rudolf się zsunął prędko z wozu, a poważny buchfirer wytrzeszczył oczy szeroko.

Konie wpadły w dół głęboki, przekopany przez całą szerokość drogi.

Wyminąć go niepodobna.

Z obu stron zagradza drogę gąszcz lasu.

— Zasadzka—wykrzyknęły wszystkie usta.

Na otwartem miejscu wobec wroga Niemcy są nie do zdobycia.

Tworzą z wozów tabor, uprawiany później tak korzystnie przez husytów czeskich.

W gęstwinie lasu wobec niewidzialnych potęg walczyć ciężko.

Gdzież napastnicy?

Jeszcze ich niema, czekają ciemności nocy, tymczasem rzucili im zaporę, której przebycie trochę czasu zabierze.

Przebyć rów głęboki i szeroki trudność nie wielka.

Ażeby go przebyć, potrzeba go zasypać.

Na to Hanza jest przygotowana.

W jednej chwili, na skinienie ober-furmana, błysnęły topory i gałęzie drzew wypełniają rów; inni go zawalają ziemią.

Robota idzie składnie i gładko, ale słońce coraz niżej. Ostatnie jego promienie tylko wierzchołki drzew złocą.

Mrok idzie od ziemi.

Pierwszy wóz przejechał po faszynowym moście, w ślad za nim poszły inne.

Zadudniło po ciemnym już lesie.

Jednak widzą i czują wszyscy, że chwila stanowcza już się zbliża...

Już się zbliżyła.

Wozy stanęły, bo im zagroziła większa przeszkoda: zwalone kłody drzewa wpoprzek drogi.

Nieprzyjaciel tuż.

Niemcy boju jednak staczać nie myślą.

Krzyczą: *Wer da?*

Świsnęła strzała z góry i utkwiała w poręczy siedzenia tuż przed zdumionym ober-furmanem.

Na strzale zatknięty papier.

— *Feuer!*

Buchfirer wyczytał:

„Zdać się na naszą łaskę, albo żywa dusza stąd nie wyjdzie“.

II

GNIAZDO SĘPÓW

Jesteśmy w komnacie zamku oświecimskiego. Izba to nieduża, a trzecią część jej ścian zajmuje wielki komin, na którym płoną szczapy drzewa.

Światło było drogie — taki komin ogrzewał i oświecał.

Przez skąpe okna, w których więcej było ołowiu, aniżeli szyb, dzień daje swoje ostatnie blaski.

Nieopodal ogniska, na niewygodnem krześle, którego poręcze tem się odznaczały, że wyobrażały potworne głowy smoka, spoczywa człowiek już stary i łysy stękając i jęcząc bez ustanku.

Na niskim taborecie wyciągnął nogi, obute w pilśniowe buty, których śpiczaste końce na ćwierć łokcia długie. Ma na sobie aksamitną szubę, podbitą futrem, z wielkimi otworami miast rękawów; pod spodem fioletowy kaftan.

Twarz tego człowieka czerwona i obrzękła, o krótkim karku. Nic w niej nie wyczytasz prócz fizycznego cierpienia, a fioletowe plamy, mięsiste wargi i worki pod oczyma mówią, że na nie pracował gorliwie.

To Przemysław, ksiązę Cieszyna i Oświęcima, zwany Noszakiem.

Podagra trapi go od lat kilkunastu, tak, że chodzić nie może, ale go noszą w onem książęcem krześle z potworami.

Stąd lud przezwał go tem imioniskiem.

Rządy księstw zdał na dwóch synów.

Cieszynem rządzi Bolesław, starszy; Oświęcimem — Przemysław, młodszy.

Mimo to zgryźliwy starzec wglądać chce w sprawy obydwu synów.

To też jeden tydzień bawi w Cieszynie, a w Oświęcimie spędza drugi.

Stąd wieczne spory i zacięte nieraz walki się toczą.

Przy chorym po obu stronach krzesła stoi dwóch ludzi.

To lekarze.

Jeden jest Żydem, drugi Niemcem.

Na twarzy Żyda igra ironiczny uśmiech, podczas gdy Niemiec, uzbrojony powagą wielką, wyklada traktat o podagrze.

Dowodzi on, że skutkiem nacisku Wenery na Marsa, następuje wielka w atmosferze gęstość. Ta gęstość działa szpetnie na wątrobę i stąd wywiązują się humory, które znów sprowadzają zaburzenia w całym ciele. Radzi więc tłuc w móżdżerzu mandragorę, dodawszy proszku koziorożca, i pić trzy razy na dzień.

Starzec, któremu leki Niemca snadź już mocno dojadły, spluwa z pasją i odwraca się do Żyda.

Ten poglądził brodę i rzekł chłodno:

— Niema na podagrę środka w medycynie. Możemy dać tylko niejaką ulgę w cierpieniach, zalecając jak najmniej irytacji. Radzimy choremu spokój i oderwanie się wszelkie od spraw powszednich a zabawienie umysłu rozrywką. Przepisujemy dekokt z ziół na oczyszczenie i zalecamy djetę.

Starzec jeszcze gwałtowniej się porwał z siedzenia i odtrącił Żyda kułakiem.

— Niech was gromy spalą! Jeden mnie truje lekami, a drugi zagłodzić pragnie djetę. Precz!... Pójdź ty, wolę twoją mandragorę z koziorożcem.

Naprzeciw krzesła chorego, po drugiej stronie komina, siedzi przy stole sługa książęcy, rodzaj kanclerza i doradcy, Czech, zwany Chrzanem.

Jest to człowiek lat czterdziestu, twarzy,

okrągłej, ale niezmiernie sprytniej i ruchliwej — bez zarostu, z włosami ciemnymi; w piwnych oczach jego czytać można przebiegłość.

Nie stracił on jednego słówka z rozmowy dwóch lekarzy.

Zamyślił się chwilę, oczy przymrużył, jak-gdyby obydwaj systemy doktorskie ważył w myśli; potem z pokorną miną przystąpił do chorego, który zda się czekał tego, bo się ku niemu zwrócił.

— Radzę waszej książęcej mości posłuchać zdania Wolframa. Ten Żyd jest chyba przekupiony przez synów waszych, kiedy wam radzi spokój i usunięcie się od spraw państwa. To brat tamtego zausznika, Natana.

— I ja tak myślę — ryknął chory. — Precz z Żydem! Do lochu z nim!

— Mam wasze słowo! — rzekł Żyd z powagą. — Jestem lekarzem królewskim i żądam w imieniu mego pana bezpiecznego przejazdu do Krakowa.

— Milcz, podły Żydzio! twój król, to dziki niedźwiedź z puszczy litewskich, poganin, który skradł Piastów berło! Zamknij go, Chrzanie, zamknij na cztery spusty.

— Nie warto dla tak podłego stworzenia otwierać lochów — rzekł Chrzan — wypędzić go za bramy. Idź, Żydzio, i bądź kontent, żeś się dziś ze świętym Mojżeszem nie zobaczył. — I poprowadził go ku drzwiom.

— Na drugi raz nie wzywajcie lekarza, bo ten wam niepotrzebny, dość na to szarlatanów.

— Och! pies niewierny! — krzyknął książę

za odchodzącym. — Kto mi poradził tego nie-
cnotę?

— Książę Przemysław — szepnął Chrzan—
namówiony przez Natana.

— Och wyrodny! Och przeklęty! — jęczał
starzec, bo uczył bóle gwałtowne, które nim
szarpały. — Do Cieszyna już się przeniosę, aby
go nie widzieć więcej. Bolesław, jak myślisz,
jest dobrym i uległym synem?

— Uległość tamtego a srogość tego na jed-
nej szali zaważy: tamten bierze uległością, ten
gwałtem.

— Obadwaj, obadwaj okrutnicy!

Wtem z dolnych komnat dochodzą wesołe
wrzaski i śpiewy.

Tam, przy suto zastawionym stole, siedzi
hulaszcza młodzież.

Jest Henryk, książę z Libenu, jest Hinko
z Głogowy, jest Bolko ze Świdnicy, są burgra-
biowie na Lanckoronie, Berwałcie, Zatorze,
a między nimi pan zamku, książę Przemysław,
w towarzystwie dwu niewiastek.

To Małgorzata i Krystyna.

Obie już przekwitłe i dobrze podstarzałe.

Małgorzata jest wdową po panu kasztelanie
z Zatora, Krystynę wypędził od siebie mąż, pan
na Frankensteinie i Ostrowie.

Jest tam jeszcze pani Agata z Karlsbergu,
której mąż, wstrętny opilca, kiwa się na wszyst-
kie strony, gotów już pod ławę się stoczyć.

Jest sławna Dorota z Tęczyna, której bra-
cia walczyć muszą z gachami bez ustanku.

Jest wreszcie nadobna Krzysia z Wrocławia.

Wszystkie te panie mają sławę i rej wiodą w ówczesnym półświatku.

Ci wszyscy paladyni i rycerze zdobią się ich wstęgami, noszą przy hełmach ich rękawiczki, podwiązki etc.

Dawna, piękna galanterja, którą się zdożyły średnie wieki, zeszła... ot do takich.

Małgorzata chwyta za szyję Przemysława i lubieżnymi pocałunkami go darzy. On jej odwzajemnia a obok tego płaci za nie gotówką, bo zdejmuje z szyi drogocenny łańcuch i wieszka go na jej obnażonych ramionach. Wczoraj go zdarł z pana von Wolzogen i posłał jego duszę do raję.

Uradowana podarunkiem kobieta szepcze mu długo coś do ucha. Nie słowa to podziękę, bo książę zamyślił się ponuro.

Czyżby jej tego za mało?

Krystyna z Frankensteinu niecierpliwie uderza puharem drzemiącego Henryka.

Agata wsparła się na ramieniu rosnącego Hinka z Głogowy, patrząc mu lubieżnie w oczy.

Rycerz klnie się jej i poprzysięga dozgonną wierność, lecz ona żąda dowodu namacalnego, jaki przed chwilą otrzymała pani Małgorzata.

Damy były bardzo interesowne w owych czasach.

Rycerz się kurczy, wreszcie zdejmuje pierścień z palca i kładzie go na paluszek swojej bogini.

Bogini popatrzała, potem podeszła ku Natanowi, podskarbiemu książęcemu, aby ocenił wartość klejnotu.

Przemysław jest to młody, ale już przed-

wcześnie wyniszczony rozpustnik; długie blond włosy spadają mu na ramiona.

W rysach tych już niema śladu piastowskiej energii, jest tylko gorączka jakaś pijacka, żądna użycia i rozboju.

Zrazu się nachmurzył na słowa Małgorzaty, potem się zerwał, uderzył pięścią w stół, tak, że powywracał szklanice, i krzyknął:

— Słuchajcie! Hanza! Hanza obładowana towarami wlećze się jutro przez lasy oświęcimskie. Hejże na Hanzę!

— Na Hanzę! — zakrzyczały wszystkie usta i podniosły się wszystkie pięści.

Kobiety wydały ryk radości, który zapieczętowały ogniste całusy.

Na Hanzę! Ileż w tym wykrzykniku drapieżnej chuci, bo Hanza — to stroje, to klejnoty, to bogactwo, to wdzięk, to użycie!

Burgrabia z Lanckorony protestuje.

— Nie można! — powiada — umowa trwa. Zapominasz wasza książęca mość, że książę starszy...

— Precz! Na Hanzę! — odpowiada mu pijany Przemysław. — Ubierzemy nasze kobiety w złotołów i jedwabie. Na stołach naszych zastawimy zamorskie przysmaki, zdobędziemy broje i miecze. Co myślisz o tem, Natanie?

Natan, Żyd, to prawa ręka księcia, podskarbi, doradca. Rządzi Przemysławem, tak jak Czech Noszakiem.

Uśmiechnął się złośliwie i wykrzyknął z innymi:

— Na Hanzę!

— Hej, ha! Na Hanzę! — Krzyk się wzmağa

coraz większy, tak, że dochodzi już najwyraźniej do chorego, który się wije z boleści.

Nareszcie przemógł się. Słowa „Na Hanzę” dały mu czarodziejską siłę. Każe się nieść w swoim krześle do dolnych komnat.

I gdy powzięty projekt zapijają ochoczo, drzwi się otwierają, a w nich staje starzec, oparty na ramieniu nieodstępnego Czecha.

— Nie ważcie się! — krzyczy — nie ważcie! Z Hanżą trwa umowa zaprzysiężona uroczyście.

Gwar zrazu ucichł, lecz wznawiają go kobiety i podzegają na chwilę oniemiałych mężczyzn.

— Umowa? Jam jej nie zawierał i nie przysięgał! — woła Przemysław. — Czy jestem wreszcie księciem Oświęcima i Zatora?

— Póki ja żyję...

— Otóż to! Póki wy żyjecie, to ja mam siedzieć za piecem.

Młodzież podpiła podśmiewuje i zachęca do większej zaciętości. Niewiastki patrzą szyderczo.

— Łatwo to bawić się w świętego i dotrzymać umowy, kiedy podagra nie puszcza ze stołka! — woła podbudzony syn.

Śmiech wybucha z całych piersi.

— Milcz! milcz, przeklęty! — krzyczy starzec.

— Wyście wzięli pieniądze od nich, a jam ich nie widział.

— Och, niech siarczysty grom kary niebios dosięże głowę twoją, wyrodku!... ty... ty...

Nie dokończył — padł na stołek omdlały. Zapanowała cisza...

Czech stał przy nim nieporuszony, zabraniając sługom ruszać go z miejsca. Patrzył spokojnie po zgromadzonych, których ten widok zda się przeraził na chwilę. Wreszcie, gdy starzec zaczął powoli przychodzić do siebie, usunął go szybko z ich oczu.

Po chwili ozwały się ciche szepty, wkońcu głośna rozmowa, dalej wesołość i puhary.

Przekleństwo schorzałego, prawie konającego starca to słabe pociski dla tych młodych, zwierzęcych natur.

Dopóki ich coś nie zaboląło fizycznie, dopóki nie szarpnęło ich dziecięco-lękliwej wyobraźni, to wszelki taki pocisk prześliznął się po ich gładkiej skórze, niby kropla rosy po skórze węża.

Któż byli ci książęta?

To zwyrodniali Piastowie.

To owa gałąź, odpadła od pnia starego, co tyle potęgi zlał na Polskę.

Oni otwierają pierwsi ten długi korowód rodzin, co konał w uściskach germanizmu.

Zapomnieli już dawno ojczyściego języka.

Obyczajem, duchem, wiarą — to Niemcy.

Tak jak ich przybrani bracia, to *raubritterzy*.

Ich zamki to gniazda rozbójnicze.

To najwięksi wrogowie tej korony, od której odpadli.

W nieprzyjaciół szeregu stawali zawsze pierwsi.

Rwali kawałami, jak sępy, łono matki.

Ile zdrad, ile przeniwierstw spełnili przeciw tej ojczyźnie, z której łona wyszli!

Gdy nie mogli się związać z Niemcem, wiazali się z Czechem.

To też usuwała się im z pod nóg macierzysta ziemia, tak, że jej im na grób zabrakło...

Do dziś dnia w podaniach ludu płaczą się o nich wspomnienia dreszcz budzące.

III.

NIEPRZEWIDZIANY FIGIEL.

Gdy buchfirer odczytał pergamin, przyczepiony do strzały, zapanowało milczenie.

Ober-furman powiódł wzrokiem po gromadce ludzi, co się zebrała trwożnie przy czerwonym odblasku pochodni, potem stanął na wozie i spojrzał wokoło siebie.

Nie dostrzegł nic, prócz czarnej nocy, którą powiększyło jeszcze światło, ale usłyszał śmiech szydery i przeraźliwe wycia, które tuż przy nim, wokoło niego, ponad nim się ozwały.

Zdawało się Niemcom, że każde drzewo, krzak każdy ma twarz potwora, a ten potwór szydzi i wyje i urąga.

Nie mogli pojąć, jakie zastawiono na nich sidła.

Kto jest ten przemożny nieprzyjaciel?

Wszakże z księciem Oświęcima wiążą ich układy.

Układy! Na ten wyraz sami uśmiechnęli się szydersko.

Układy zawierano... aby je zrywać.

Czyż nie podawano jednej ręki do zgody, gdy drugą zaciskano w pięść?

Wprawdzie płacili haracz dość duży staremu Noszakowi, ale któż chciwość łupieżcy zdoła zaspokoić!

Tak myślał głośno buchfirer, na co oberfurman kiwał głową twierdząco.

— Co czynić?—ozwał się wreszcie ostatni.

— Układać się—rzekł chłodno buchfirer.— Jesteśmy w paszczy wilka, bądźmy roztropni, jak węże.

— Hola! prosimy na rozmowę! — ozwał się całym głosem oberfurman.

— Mów! — odrzekł głos jakiś.

— Mów! — powtórzył drugi.

— Mów! mów! mów! — posypało się na wszystkie strony, z rozmaitych tonów, różnymi głosy, w których Niemcy odróżnili kobiece wśród szalonego śmiechu.

— Tu są i kobiety — szepnął oberfurman do buchfirera.

— Tem gorzej.

— Igrają z nami, niby kot z myszą.

— Mają przewagę, my bezsilni.

— Óch, przekleństwo! — jęknął oberfurman, zaciskając pięści.

— Dłużej czekać nie będziem! — ryknął jakiś głos gromki. Świsnęła strzała i ugrzęzła w czaszce końskiej tak celnie, że biedne zwierzę padło, jakby rażone piorunem.

— Wystrzelamy tak wszystkich!

— Kto jesteście i czego żądacie? — spytał oberfurman.

— Wszystkiego tego, co tam w wozach chowacie.

Buchfirer otworzył szkatułkę i przy blasku pochodni wyjął z niej papier.

— Oto glejt księcia Przemysława, z jego pieczęcią, na wolny i swobodny przejazd hanzeatyckiego związku. Czy jest szanowane imię księcia?

— Którego? — spytano.

— Pana Oświęcima i Zatora, księcia Przemysława.

— Jest ich dwóch, stary i młody. Którego sługami jesteście?

— Więc dwóch rządzi tem państwem?

— Za to pytanie powinieneś wisieć! Jeden jest panem udziałnym i samowładnym i ten was nie zna wcale i przez ziemię swoją was nie przepuści. Złożyć broń, otwierać wozy, albo żywa dusza stąd nie wyjdzie!

Tak przemawiał młody książę Oświęcima i Zatora.

— Złożyć broni i otwierać wozów my nie możemy — mówił buchfirer, w którego zakresie snadź leżało to wszystko, coby dziś nazwać było można dyplomacją. Ober-furman milczał, bo on był przewodnikiem i dowódcą siły zbrojnej.

— Myśmy służyli związku. Szanujemy prawa i przywileje. Wiemy, że w tym kraju niema sił większych nad siłę księcia. Jeżeli z jego rozkazów spełniacie gwałt, zanosimy uroczysty protest w imieniu całego związku i domagamy się sprawiedliwości u wszystkich naszych pro-

tektorów i opiekunów, począwszy od najjaśniejszego cesarza Niemiec i króla...

Wymawiając te słowa, zdjął czapkę, gdy celny strzał wytrącił mu ją z ręki i nie pozwolił kończyć przerwanej mowy.

Niemiec cofnął się przerażony.

— Pozwólcie nam wyjechać spokojnie z towarem. Dla rękojmi waszych pretensji, wybierzcie z między nas zakładników. Związek się o nich upomni.

Wtedy błysnęła w gęstwinie jakgdyby wielka luna pożaru. Zapalono kilkanaście pochodni i wtenczas Hanzeaci ujrzeli całe dostojne grono, posuwające się ku nim z powagą.

Na czele szedł książę Przemysław.

— Wszyscyście niewolnikami mymi i to, co wieziecie, należy do mnie. Kłaść im łańcuchy i otwierać wozy.

Zaroilo się od pacholków, knechtów i wszelkiego żołdactwa, a każdy z nich miał dyby, sznury, łańcuchy.

Zgrzytano zębami i przeklinano pocichu, ale ręce kładziono w okowy.

Sowizdrzał, lubo figura neutralna, wyprosił sobie, aby go związano wraz z Rudolfem.

— Takich dwóch głupców, jak my, wystarczy przecie za jednego mądrego ober-furmana. Dobrze, dobrze. Jużem był zasnął z nudów w tej utrapionej podróży, gdyście mnie rozba-wili. Uśmiełem się, jak w mięsopust. Pójdź, towarzyszu głupstwa, pokłonim się tym pięknym damom.

— Niech żyją odważne niewiasty, co umieją wypróżniać mieszki ot takim niedołęgom!

Kuku! kuku! kukaweczki! Zagrałyście z nami w straszaka... Co widzę! przezacna pani Małgorzata... i pani Krystyna, i pani Dorota, i pani Agata... i Krzysia nadobna... to niby całe grono różanego wianka.

Hej, zawiedzmy piękne koło, piękne koło
Do dnia białego... a wesoło, a wesoło...

— A wypróżniajcież skrzynie tym skapcom, Poubierajcie się, jak anioły! Nie zapomnijcie dla mnie choć skraweczka na czapkę!

Nie zważano na niego, bo wszystkich paliła gorączka rabunku.

Otwarto skrzynie.

Jak muchy do miodu, rzuciło się wszystko do wnętrza.

Kobiety, których Niemcy nie widząc odgadli po głosie, były pierwsze.

Rękami, trzęsącemi się z chciwości, jęły dobywać to wszystko, za czem i dzisiaj lgną duszą całą, a wyroby te były samą treścią ówczesnych rękodzielni.

Poczawszy od płócien flamandzkich i kołońskich, szkarłatów sukiennych, lundyszów wełnianych, a skończywszy na jedwabnych altembasach, złotogłowach i aksamitach.

Wszystko to w jaskrawych barwach, oblane światłem mnóstwa pochodni, połyskiwało w ich rękach.

Mężczyźni przypatrywali się w milczeniu, drwiąc z ich chciwości.

Tymczasem Hanzeaci dali sobie spokojnie kłaść więzy.

Gdy zrabowano jeden wóz, wzięto się do drugiego.

Wtem stało się coś strasznego.

Gdy wóz otwarto i zbliżono się doń z pochodniami, huk stu gromów i ogień piekielny wybuchnął.

Zdawało się, że ziemia rozpękła na dwie połowy.

Wszystko, co żyło, popadało, potem jęło uciekać w przystępie szału w różne strony, gnane panicznym strachem.

Jęk konających, krzyk rannych, rzenie koni, strugi ognia.

Piećło.

Las stanął w płomieniach.

Kto mógł, uchodził z życiem.

Komu nie dano, znalazł tam grób.

Dotychczas w podaniach ludu zostało wspomnienie o lesie żywieckim, gdzie się piećło rozwarło i czarci Niemców ugotowali w smole...

Był to proch strzelniczy, wieziony przez Hanzę po raz pierwszy do Krakowa.

IV.

KANTOR.

WSukiennikach, obok ratusza krakowskiego, usadowiła się Hanza i urągała ratuszowi, — bo gdy ratusz chciał karać, ona ułaskawiała i brała w obronę, a to, co ratusz bronił, ona karała.

Silna potęga swych przywilejów, które wy-

cisnęła z niedołączonych władców, drwiła z praw i obyczajów miejscowych.

Była rządem w rządzie.

Gdy co wpadło w tę paszczę, nikt nie był w stanie jej tego wydrzeć.

I nie mogło być inaczej.

Była głową i wyrocznią całego świata.

A czem ona nie handlowała!

Wszystkiem, co kupić i sprzedać można.

Ona pierwsza zbadała potęgę zamiennego handlu z ludami mniej rozwiniętymi.

Brała od nich rzecz, dawała im wzamian błyskotki.

Tak, jak dzisiaj bierze się od Irokezów złoto za paciorki.

Ona stworzyła kredyt i weksel.

Od niej biorą początek wszystkie techniczne nazwy świata kupieckiego.

Ona ustanowiła ceny, miary i wagi.

Ona ubierała ludzi tak, jak się jej podobało.

Kazała tańczyć tak, jak zagra, bo miała nawet kapelę własną.

Miała swoje wojsko i flotę.

Biła swoje pieniądze.

Miała swoich księży, swoich uczonych.

Trzymała na swym rządzie kondotjerów i rozbójników wszelkiego rodzaju i rzucała ich nieraz na jaką nienawistną sobie głowę, jak się to działo w Skandynawji, albo w Czechach, — lub też sama była od nich niszczona.

Zależało to od wielu napozór drobnych nieraz okoliczności, które narazie przewidzieć i zapobiec im trudno — tak, jak w obecnym wypadku.

Choć miała agentów swoich wszędzie i wiedziała o wszystkich zamysłach swoich przyjaciół i nieprzyjaciół, to przecież tajemnicze sprężyny serc ludzkich badać trudno.

Staremu Noszakowi płaciła haracz i była pewna, że się jej zbrojnie napadać nie pokusi, bo — jak słusznie powiedział Przemysław — stary dotrzymuje Niemcom słowa, gdyż podagra nie puszcza go ze stołka.

Miała więc rękojmię. Prócz tego, Czech Chrzan, będący na jej żołdzie, obowiązany był czuwać nad jej bezpieczeństwem.

Ale któż tam obliczy uderzenia pulsu krwi kipiącej, zwłaszcza gdy w niej rozniecą pożar takie iskry, jak oczy nadobnej pani Małgorzaty!

W jej głowie powstał napad na Hanzę i ona to spiorunowała wszystkie głowy, niby uderzeniem elektrycznej iskry.

Nie wiedziała, jaką sobie gotuje dołę.

W Sukiennicach tymczasem gwarno, ludno i rojno.

Patrzcie się, czego tu nie dostanie?

Oto buty i daktyle, pancerze i harfy, oliwa i pergamin, śledzie i cynamon, zwierciadła i wino.

Patrzcie tu: całe ubrania wiszą gotowe dla mężczyzn, kobiet i dzieci według ostatniej mody — bo moda już dawno tyranizuje ludzi.

Mieszczanie i szlachta uginają karku pod jej władzą.

Stroją się, bo to taniej i ładniej i szykowniej.

Kraków się roi od tej pstrocizny i zdaje mu

się, że jest Wiedniem, Norymbergą, Kolonją, Paryżem.

Tak było przed pięciuset niespełna laty; dzisiaj inaczej.

Krawcy i szewcy, i kuśnierze i czapnicy przeklinają i grożą i pomstują.

Hanza się śmieje i sprzedaje.

Oto wyroby ze srebra i ze złota, maskary różnego kształtu, peruki. Wysokie czepce kobiece, włosiennice dla pokutników, różańce, pachnidła drogic, kołnierze i szczotki.

Wszystko to rozłożone, jak długa wielka hala.

Światła tu nie dużo, bo go nie trzeba za wiele. Piękny przedmiot będzie pięknym i pociemku, a brzydki tylko zyskać może.

Kupcy poza Sukiennicami to tylko filje Hanzy.

Ona sama, jedyna, panią samowładną.

Oto jej kantor, albo faktorja, jak zwano wówczas.

Wchodzi się do niej po wschodach krytych, zewnątrz budynku.

Jest to duża, sklepiona izba o kratowanych oknach.

Przed wielkim stołem, zawalonym księgami i papierami, stoi Olderman Reinhold von Bonar z Ingermanlandu, głowa faktorji krakowskiej. Ma przy sobie sekretarza, Detmolda Schwarzbacha.

Reinhold jest mężem lat czterdziestu, poważnego i rozumnego oblicza, z dziwnie pięknymi, niebieskimi oczyma, które wydają z sie-

bie jakgdyby magnetyczny jakiś urok. Z pod beretu czarnego, obszytego futrem, kręcąc mu się blond włosy i spadają w puklach aż na ramiona.

Postać barczysta, wzrost piękny, ruchy poważne i szlachetne. Widzieć można takich na portretach Holbeina lub Dürera.

Człowiek to na pierwszy rzut oka wzbudzący szacunek i zaufanie.

Oparł się obu rękoma o stół i zamyślił głęboko, podczas gdy sekretarz z podniesionem piórem badawczo w niego patrzy, czekając na dyktando.

Jest to figura sucha i pożółkła, jak wszyscy ludzie inkaustu. Ma wydatne policzki i nos dość duży; przytem uśmiecha się złośliwie, ale bardzo lekko, podczas gdy jego pan i władca suszy głowę.

Wszyscy sekretarze od wieków są podobni do siebie w tem właśnie, że ich panowie, wielcy wobec świata, są nieskończenie mali — wobec nich.

Wiedzą o ich słabościach, a dla nich słabości zawsze przeważać muszą zalety.

To cała ich pociecha.

Ojciec Detmold ma się za wielką głowę, ale tylko między zaufanymi, bo Hanza nie znosi żadnych pyszałków.

Olderman wreszcie przemówił.

— Na czem stanąłem? — spytał.

— „Możecie być spokojni” — przeczytał Detmold.

Olderman okazał znaki zniecierpliwienia.

— Przeczytaj cały ustęp od góry.

Detmold czytał:

— „Naszą jest ta biała plama, którą miłoscie wasze zwiecie Terra incognita, a którą ja, będąc jeszcze wyrostkiem, gdym patrzył na mapę, zaludniać lubiłem w myśli miastami i burgami władców niemieckich. Naszą ta biała ziemia ludów cichych i spokojnych. Niemiecka Hanza owładnęła nią, od sinych wód Bałtyku, aż pod góry Karpackie. Możecie być spokojni”...

Detmold urwał.

Olderman położył rękę na piersiach, rozpromieniony, jakgdyby z głębi duszy dobywał wyrazy, które miały padać na papier.

— Możecie być spokojni — dyktował — dostojni ojcowie niemieckiej Hanzy; fundamenty naszej budowy wiecznotrwałe na ziemiach polskich. Niech teraz szlachetny pan Dietrich Osterman przedziera się przez Karpaty do Madziarów ziemi, a potem i dalej, aż do Proponitidy i niech się spełni to, co się spełnić musi.

Tu się zatrzymał chwilę... przeszedł parę razy po izbie i dyktował dalej:

— Co się tyczy usług naszych dla wielkiego mistrza Zakonu, te spełniamy święcie i szybko. Wiele oni nam zawdzięczają i wielkich za to możemy wymagać od nich ofiar...

Tu drzwi się zlekka otwarły i wszedł człowiek już lat podeszłych, z obliczem i ruchami przypominającemi kota.

Wszedł pocichu, powiódł bystrem okiem po obecnych i czekał przyczajony, zgarbiony, niby na zdobycz jakąś.

Spostrzegł go Detmold i prawie się podniósł

z siedzenia; za jego dopiero wzrokiem skierował swój Olderman.

— Czego chcesz?

— Jakiś człowiek w ważnym interesie do miłości waszej.

— Kto? skąd?

— Z Oświęcima.

— Niech wejdzie.

Tym człowiekiem był Chrzan.

Stawił się bladym i wylękłym, tak, że na pierwszy rzut oka można w nim było wyczytać klęskę.

— Co was tu sprowadza?

— Nieszczęście!

— Jakie? gdzie?

— Cała kompanja kolońska rozbita i zniszczona.

— Szalony! przez kogo?

— Przez księcia Przemysława.

— Kolońska kompanja! — powtórzył Olderman, uderzając się mocno w czoło — tam jest... — urwał nagle; potem przybiegł z wściekłością do Czecha:

— Księcia Przemysława, powiadasz? Kłamiesz, nędzniku!

— Przysięgam wam — rzekł, padając na kolana Czech.

— I tyś nie zapobiegł temu? Och, przekleństwo! Przekleństwo wam! Kamień na kamieniu nie zostanie z waszych murów! I ten nikczemnik ważył się? A nasza umowa? a dajna, którą mu się składa? A ty...

Chwycił go za gardło i podniósł w górę, jak piórko.

— Przebaczcie! miłosierdzia! Obaj ze starym księciem nie mogliśmy nic zrobić. Starzec to życiem przypłaci.

— Więc to młody! młody!... Mów, gdzie oni są? Co się z nimi dzieje?

— W lesie żywieckim oczekują ratunku. Książę z towarzyszami i kobietami uciekli, gnani strachem. Okropne, niewypowiedziane nieszczęście... ludzie boją się tam zbliżyć.

— I żądają ratunku, i tyś tu, nędzniku. Ha, przekłęci! ty pierwszy padniesz pod moją zemstą.

Wściekłość, rozpacz szamotały tym spokojnym i zadowolonym przed chwilą mężem.

Rzucił Czechem w kąt izby, tak, że zdawało się resztki tylko jego zbierać trzeba będzie.

Wydał jednak głos cichy i pokorny:

— Ulituj się, panie, nie karz sługi swego. Spełnię wszystko, wszystko, co każesz, i powetuję moją winę.

Olderman go nie słuchał; z zaciśniętymi pięściami oparł się o stół, tak, że zatrzeszczał cały, i gromkiem a urywanem słowem mówił do sługi, co w jednej, nieporuszonej, kociej postawie czekał u drzwi:

— Hartmana z łucznikami!

Sługa miał się do odejścia.

— Luder!

— Słucham.

— Cztery wozy kryte i dla mnie telega.

— Dobrze.

— Wyjechać natychmiast, cicho, spokojnie, pojedynczo, przez bramę szewców i tam czekać. Folchard i Otbert niech się stawiają. Idź!

Luder wyszedł.

Po chwili zaczął Olderman spokojniej:

— Pojedziesz ze mną, nędzniku. Los twój zawisł od straty, jaką ponieśliśmy. Wielkość jej wyrównywa wielkości męczarni, jaka cię oczekuje.

Czech milczał skulony, nie śmiejąc wydać ruchu i głosu.

Weszło dwóch ludzi.

Były to dwa typy rasy niemieckiej, jakie się dziś jeszcze nad Renem spotykać zwykło.

Gęste złotawe brody i włosy. Twarze czerstwe, okrągłe policzki i pewne podobieństwo w rysach kazały ich uważać za braci, a przecież nimi nie byli.

Odróżniali się tylko wzrostem.

Folchard był wyższy, Otbert niższy i otylszy.

— Zostawiam wam dom — rzekł Olderman. — Rządźcie nim i pilnujcie. Wyjeżdżam. Obydwaj skłonili się w milczeniu.

Izba opustoszała.

Pozostał w niej tylko Detmold.

Twarz jego wyrażała cały jad nienawiści.

Wstał z siedzenia, wziął w ręce niedokończony list, popatrzał nań, zaśmiał się uśmiechem djabła, zmiął, potargał w drobne kawałki i rzucił do komina.

Przeszedł się po izbie, przystanął przed krzesłem Oldermana, plunął nań z taką pogardą, że ślina obryzgała poręcz ciemnego fotelu i plamiła go białością, potem siadł na swoim miejscu i jał na papierze kreślić cyfry. Nakreślił ich całą stronicę, złożył starannie, schował do woreczka, co mu wisiał u pasa, i wyszedł po mału z izby.

NA POBOJOWISKU.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca przedarły się przez gęstwinę żywieckiego lasu.

Oświeciły one coś takiego, przed czemby i dziś zatrwożył się odważny i trzeźwy umysł.

Wysłani rankiem słudzy Noszaka, gdy ujrzeli miejsce katastrofy, uciekli jak szaleni, roznosząc postrach po okolicy.

W wypalonej przestrzeni lasu, dymiącej jeszcze, wały się rozbite i zwęglone wozy, trupy ludzi i koni.

Porozrzucane szmaty różnobarwnych materji jaskrawych i błyszczących a zwłaszcza czerwonych dawały pozory kałuży krwi.

Gdzie rzucić okiem, doznawało się wrażenia, jakgdyby wszechpotężna dłoń jakiegoś olbrzyma uczyniła tu z tych ludzi i z tych rzeczy igraszkę, rwąc ich w kawały, a potem rzucając nimi na wszystkie strony.

Na gałęziach drzew wisały strzępy ludzkiego ciała i podarte szaty.

Dusząca woń spalonych ciał unosiła się parą nad warsztatem śmierci i przyprawiała żywych o mdłości.

Na ziemi deptano po głowach oderwanych od karku, po tułowiach, nogach, rękach, jeli-tach. Daremnie rozpoznawać co do kogo należy.

Masa straszna, jakby wyszła z jakiegoś piekielnego młyna, który to wszystko zmełł,

a wśród tego usłyszałeś jęk konających, albo błagalną prośbę ranionych.

Wśród tego straszego cmentarza najgłośniej wzywa pomocy ten, co się najgłośniej śmiał przed chwilą: Sowizdrzał.

Sam wyszedł zdrów i cały, ale jego towarzysz leży bez ducha, głowę ma osmoloną, jednak rany nigdzie nie widać — a przecież nie daje znaku życia.

Nachylony nad nim stara się go ocucić, trąc mu skronie i wzywa ratunku, ile mu sił w płucach starczy.

Wstaje wreszcie, bo ujrzał opodal baryłkę jakaś. Może to wino. Wino potrafi wrócić życie omdlałemu Rudolfowi.

To nie wina, to śledzie.

Gdzież wino? wszak Hanza wiezie go zawsze poddostatkiem.

Szukajmy.

Sowizdrzał ma umysł filozofa, a potem jest zajęty silnie ratunkiem chłopaka, którego polubił wielce.

Obraz zniszczenia, który mu się przedstawił, wydobył zeń uśmiech politowania.

Nadepnął na trupa, który jeszcze w rękach skrzeplonych trzymał mocno szmatę błękitnego atlasu. Na tym trupie błyszczą w słońcu łańcuch z drogich kamieni, te kamienie odkradają światłu promienie i zdają się śmiać szyderczo.

— To pani Małgorzata! — szepnął trefniś z pogardą i poszedł dalej, szukając bacznie owego wina. Ale im więcej się zagłębiał w ten straszny cmentarz, ogarniała go groza wielka.

Myślał nad potęgą tej szatańskiej materji,

która to kiedyś światu tyle klęsk przynieść miała, i klął tego, co tę materję wymyślił; potem jakby w proroczem natchnieniu mówił do siebie:

— Ha, straszna to siła!... aleć tej siły i na dobre użyć można i jeżeli ona jest, to snadź, że być powinna.

Wtem zatrzymał się zdumiony.

Przy jednym wozie, który stał na uboczu ocalały, leżało kilku knechtów. Zbliżył się do nich, popatrzył, posłuchał.

— Śpią.

Targnął jednym mocno, ten zamruczał coś pod nosem i najspokojniej do snu się ułożył.

Drugi zaczął śpiewać, trzeci się śmiał, a potem klął pod nosem.

Czwarty miał w ręku dzbanek.

— Pijani... pijani! bydlęta!... Ha! ha! ha! — zaśmiał się głośno, tak, że echo ten śmiech powtórzyło po lesie razy kilka.

Zestawienie tych pijaków obok tego straszego majestatu zniszczenia natchnęło go szaloną wesołością. Śmiał się z całego gardła.

Przypomniał sobie Rudolfa.

— Więc to jest wino... nareszcie.

Wziął dzbanek z rąk pijaka, utoczył wina z beczki i uradowany pośpieszył do nieprzytomnego Rudolfa.

Chłopak, wprzód jeszcze ogrzany ciepłem sercem błazna, zaczął powoli oddychać, a po wpuszczeniu mu do ust ożywczego trunku, otworzył oczy i przyszedł do siebie.

— Co to było? Powiedz, co to było?

— Był to psi figiel, mój chłopcze. Dziękuj

Bogu, że cię zachował. Porusz rękami, teraz nogami. Dobrze.

— Głowa mnie boli okrutnie.

— Aha, i osmolonyś ogniem piekielnym. To nic. Przyjdiesz do siebie. Czy możesz iść?

— Mogę.

— Pójdźmy tu prosto przed siebie; jak się skończą te krzaki, znajdziemy tam polanę, a dalej i drogę. Pójdź... nie oglądaj się za siebie, bo byś zawrotu głowy dostał.

— Dlaczego?

— Nie pytaj i bądź kontent.

I poprowadził go, jak dziecko stroskana matka.

— Słuchaj, tam ktoś jęczy... a tu znów ktoś się odzywa.

— Pójdź!

I za chwilę zniknęli w zaroślach.

A głos dochodził coraz bliżej, coraz wyraźniej, niby nawoływanie jakiegoś, na które nikt nie odpowiadał.

Nareszcie z drugiej strony inny się ozwał i odpowiedzieli sobie wzajemnie, dalej trzeci i czwarty.

Widocznie wschodzące słońce pobudziło tych ludzi do ruchu.

Najprzód stawił się na placu zniszczenia buchfirer, ze związanymi wtył rękoma, wybladły, drżący, w potarganym odzieniu; dalej trzech dozorców i łuczników kilku.

W czasie wybuchu uciekli wszyscy, gnani panicznym strachem.

— Rozwiążcie mi ręce! ratujcie! wody! wi-

na! — wołał człek piśmienny, trzęsąc się jak osika.

Popatrzone nań z pogardą, bo wobec grozy, która im ścisnęła gardła, ten stary dzieciuch budził wstręt.

Dzień się rozwijał coraz piękniej, ptactwo radosnym śpiewem budziło się do życia nad tym grobem.

Odszukano zwłoki ober-furmana.

Miał zdruzgotaną czaszkę i leżał obok Hin-hona z Głogowy, najzaciętszego hulaki owych czasów, który dziwnem zrządzeniem losu był cały i nietknięty... z uśmiechem na ustach. Zda- wało się, że śni mile, a przecież był to sen wieczny.

Stąd dziwne o nim potem prawiono wieści; między innemi i taką, że djabli tylko tymcza- sowo wyjęli z niego duszę, ale że ona weń na- powrót powróci.

Pozostali przy życiu Hanzeaci zaczęli robić porządek po tej orgji śmierci.

Prędko przywykli do obrazu zniszczenia.

Bo i jakże nie przywyknąć, gdy słońce świe- ci tak pięknie, jak świeciło wczoraj, a zapewne i jutro świecić będzie.

O słońce! przez twoje blaski przemawia rze- czywistość. Ty godzisz człowieka z naturą wiecznie młodą i świeżą.

Na drugi dzień dopiero zjechał Olderman.

Wśród przerażenia obecnych wzbudził on podziw swoim zachowaniem.

Blady, z konwulsyjnym drzeniem, przebie- gał zgliszcza i szukał, szukał ciągle.

Na jego rozkaz przewracano wszystko,

grzebano w tej kupie śmierci i nie znaleziono tego, kogo on szukał...

Nie spytał, nie wydał głosu.

Siadł wreszcie, a właściwie rzucił się na ziemię i wydał jęk wielkiej boleści.

VI.

SOWIZDRZAŁ.

Zaledwie ich owiał wietrzyk rozkoszny maja, zaledwie się zobaczyli wśród pól falujących młodem, zielonem zbożem, już i zapomnieli o ponurym lesie.

Obadwaj byli młodzi.

Twarz Rudolfa była twarzą młodego laika lub seminarzysty. Wyraz dziecinnej naiwności widny był na niej.

Towarzysz zaś jego, krom cudackiego odzienia, które znamionowało jego rzemiosło, zadziwiał na pierwszy rzut oka bystrością inteligencji, jaka błyszczała z jego twarzy.

Sowizdrzał znał wybornie dróżki i ścieżki wszystkie, bo nieraz uciekał nimi przed pogonią podrażnionych jego dowcipem mieszczan lub kmieci.

Do psikusów, do figli już się rodzą pewnego rodzaju temperamenty. Taki nie przejdzie spokojnie, żeby nie zaczepił, nie bluznął jakimś dowcipem, albo nie spłatał figła.

Jak dla sensualisty i myśliciela pożądana samotność i spokój, tak dla takiego ruch i gwar jest niezbędny. On nawet z kamieniem się wkońcu pobrata i z nim rozmawiać będzie.

Rudolf zapomniał wkrótce o bólu głowy, który mu jeszcze dokuczał, i śmiał się wraz z towarzyszem.

Podniety i humoru dodawało im wino hanzeatyckie, w które się Sowizdrzał hojnie zaopatrzył.

Te młode dusze młodego jeszcze wówczas społeczeństwa, przechodziły łatwo z jednego uczucia w drugie, niby dzieci, przed chwilą przestraszone lub splakane, gotowe z ladaczego wybuchnąć śmiechem.

Till opowiadał Rudolfowi, jakim sposobem trafił na wyborne wino, udawał przytem tak wybornie gesty i wyraz twarzy śpiących pijaków, że chłopak brał się za boki.

— No i patrzajże, trzeba było takiego piekielnego ognia i trupów tyle, żeby te bestje upić się mogły. Taka gratka nie często się zdarza. Upić się hanzeatyckiem winem! Rudy Franz leżał do góry brzuchem, z przypalonymi wąsami, a świzzczał przez nos, jak na fleciku, a ten baryła Godfried jeszcze przez sen mlaśkał językiem. Gdym go zbudził, wybałuszyl oczy... ot tak, popatrzał na mnie, potem gębę swoją okropnie otworzył, jak wrota bramy Flo-rjańskiej, i śmiać się począł. Pchnąłem go w brzuch tak, że się nakrył nogami, i zabrałem ten oto dzbanek. Ale tobie za ciężko, biedaku — mówił, zwracając się do Rudolfa, który dźwigał dużą baryłkę. — Dawajno, niech ci ją trochę osuszę.

Utoczył wina do dzbanka, siedli przy drodze i popijali wesoło.

— Słuchajno, chłopcze — zagadnął Sowiz-

drzał — z tego wszystkiego widzę, że ty wolisz mówić Ojciec nasz, niż Vater unser... Prawda?

— Wolę — odpowiedział Rudolf.

— Co to jest ta krew w człowieku! Widzisz, i ja zawdzięczam życie jakiemuś Niemczyskowi, a przecież tylko za matką pacierz mówićem potrafił. Zdawało mi się zawsze, że Pan Bóg nie rozumie po niemiecku.

— Pewnie, że nie rozumie! — zdecydował Rudolf.

— No, widzisz, tak źle ono nie jest, bo inaczej nie sypałby tyle darów na te bestje. A synie! On im, sypie bez liczby, nie licząc tego, co sami mu jeszcze wydrą.

— A widzisz!

— No, napijmy się jeszcze, będzie lżejsza beczułka. Dziwna rzecz, jak to wino rozjaśnia w głowie człowieka! Słuchajże, chłopcze kochany, przypadłeś mi do serca pierwszej chwili, będziemy sobie radzić, a na początek pomyślmy o żołądku. Tyś pewnie głodny?

— I jak!

— To wino takie skuteczne, a przytem już i południe blisko. Widzisz tę wieżę kościoła, co się tak ładnie czerwieni w słońcu? To Maków. Tam u plebana będziemy jeść obiad.

— Dlaczego u plebana?

— Bo dobry będzie, mój chłopcze, lecz aby go dostać, trzeba zająć sztuką księdza. Słuchajno, przebierz się w moje suknie, a ja wezmę twoje. Jam pan, ty mój sługa i trefniś. Lecz żebyś dobrze udał tego, którego masz przedstawiać, a nie zdradził się, podwiążę ci twarz

chustką. Udasz wielki ból zębów i szczęki, i nic więcej nie powiesz tylko: Hm! Hm!... Potrafisz?

— Jeszczeby!

— Dalej!

Zeszli z drogi w małe zagajenie świerkowego lasku i stamtąd wyszli w metamorfozie.

Sowizdrzał w sukniach Rudolfa, choć były trochę przykrótkie, radził sobie doskonale, garbiąc się trochę i utykając na jedną nogę, a przytem zachował ułożenie i ruchy pańskie, tak, że go można było wziąć śmiało za rycerza, któremu w drodze jakiś wypadek się przytrafił.

Rudolf zato w sukniach błazna, z baryłką na plecach i dzbankiem, z podwiązaną gębą, wyglądał tak pociesznie, że sam Sowizdrzał, spojrzawszy nań, wybuchnął serdecznym śmiechem.

Lecz gdy dochodzili do wioski, spoważniał nagle, nasrożył się okrutnie i zaczął kląć a krzyzczyć w niebogłosy:

— A, podłe dusze! bodaj wam na ostatnim dniu sądu policzono te zbrodnie! Jakże ci tam, mój chłopcze, boli ciągle?

— Hm, hm! — mruknął Rudolf.

— Chodźże, chodź, mój biedaku, toć tu są ludzie, co nam pomoc i siaką taką wygodę dadzą. A łajdaki, bodaj was pomsta nieba nie minęła!

Na ten krzyk i przekleństwa Sowizdrzała zaczęli się zbiegać parobki i dziewczki, co właśnie zwozili siano.

— Prowadźcie nas do plebanji, ludzie! Widzicie, napadnięto nas w lesie żywieckim, zabrano konie, biednego pachółka mego ogłuszo-

no, tak, że ledwie głowę trzyma na karku. Oj, ty biedaku, biedaku! Żyjesz jeszcze?

— Hm, hm!

— Pleban jest we dworze, hajno.

Sowizdrzał się skrzywił trochę na tę wiadomość.

— Był u nas dzisiaj pogrzeb we dworze, bo umarła jejmość i teraz pleban jest na stypie.

— Prowadźcie mnie do dworu! — krzyknął Sowizdrzał sierzdziej i wyprostował się po rycersku, jakgdyby inną rolę odegrać zamiast tej, którą sobie nakreślił.

— Wszakże to pan Jędrzej z Kozichgłów tu mieszka?

— Nie, ino pan z Mączek, pan Mączyński.

— A, prawda! Bartosz z Mączek — rzekł Sowizdrzał.

— Ale nie Bartosz, ino Stanisław.

— A bodajże cię... toż ja zapomniałem w tem strapieniu, że jestem w Makowie u Stanisława Mączyńskiego... I żonę pochował, powiadacie?

— A jużci.

— O biedny, biedny Stanisław! I bardzo płacze po niej?

— Co nie ma płakać, jużci płacze i płacze.

Doszli tak do dworu, prowadzeni przez parobków i dziewczki, którzy radzi, że robotę odłożyli, pozostawali u wrót i ręce pozakładali.

Na dziedzińcu zastali nasi podróżni mnóstwo koni i wozów. Snadź gości było dużo we dworze.

Sowizdrzał już nie kłął i nie narzekał, ale przybrawszy smutną minę, sunął prosto z Ru-

dolfem do izby, gdzie zgromadzeni goście płci obojej siedzieli za suto zastawionym stołem.

— Bóg pochwalony w tym domu żałoby! — rzekł rezolutnie Sowizdrzał. — Bądź pozdrowiony, przezacny panie Stanisławie na Mączkach. Jakimże żalem serce moje przejęte, ale zarazem ile w niem współczucia i litości, dla ciebie, zacny panie! Ot, dowiedziawszy się o strapieniu twojem, zboczyłem umyślnie z drogi, aby rozłamać z tobą gorzki chleb żałoby i pocieszyć w dopuszcie bożym. Jam Strzemień z Żegocina, a to mój biedny pacholek, który mi... ot, zachorzał. Bądźcie nam radzi, przezacny panie!

— Bóg płąć, Bóg płąć — rzekł gospodarz z załzawionem obliczem. — Gość w dom, Bóg w dom. Ot miejsce dla was i dla czeladnika przy stole naszym. Tak, tak zacny ziemianie, pozbyłem mojej ukochanej! Siadajcież i łamcie się z nami chlebem i pijcie trunek żałoby.

Nie trzeba im było dwa razy mówić.

Sowizdrzał jadł a Rudolf, choć obwiązany, pomagał mu potężnie i na zapytania odpowiadał mruzeniem.

Towarzyskość ówczesna i serdeczność chwyciła ludzi i bratała w jednej chwili. Niedużo trzeba było czasu, aby się zbliżyć i wypowiedać jedno przed drugim... i już zostać w zażyłości, jakgdyby się lata z sobą przeżyło. Konwenans dzisiejszy mrozi serca i na usta hamulec kładzie. Średniowieczna ludzkość była szczerą i naiwną dziecinnie.

Uwierzono we wszystko, co im Sowizdrzał opowiadał — a kłamał jak z nut. Raczone ich

i karmiono sownie. Opowiadano, zwierzano się ze zmartwień, kłopotów, planów.

Nie całe pół godziny gościli nasi awanturnicy, gdy już ich wtajemniczono w sprawy rodzinne.

Oto na stypie pogrzebowej odbywały się swaty.

Pan Stanisław na Mączkach jedno oko z łez obcierał, a drugim zerkał na powabną panią Sulimierzynę, wdowę po burgrabi czortkowskim.

Tego trzeba było Sowizdrzałowi.

Stanął między nimi jako pośrednik i swatał zażarcie nadobną parę.

Wino rozgrzało czupryny, pan Stanisław, oblany rumieńcem, za sprawą Sowizdrzała zamienił z wdową pierścienie.

Lecz zaledwie dokonano tego aktu, gdy do gościnnej izby wszedł zażywny jakiś ziemianin.

Wszedł, spojrzął na Sowizdrzała, trzymającego ręce dwojga przyszłych małżonków, i krzyknął z całego gardła:

— Stanisławie! a toż wypędź tego hultaja. To Sowizdrzał!

I przerwano komedię tak pięknie rozpoczętą. Ogrzmocono im trochę skórę, ale nie bardzo, i wypędzono za wrota.

VII.

PATER-NOSTER-MACHER.

W rynku, na rogu Szewskiej ulicy, uderzał wszystkich przechodniów ciekawy sztyl.

Na wystającej, długiej sztabie żelaznej, o parę łokci od ściany domu, przytwierdzona była wyrzeźbiona do pasa postać mnicha, który w rękę trzymał różaniec o gałkach wielkości kurzego jaja i po pewnym przeciągu czasu, tyle właśnie, ile trwa Zdrowaś Marja, wypuszczał z rąk gałeczkę, aby pochwycić drugą, potem trzecią i tak dalej, kiwając przytem nieustannie głową i ruszając wargami.

Dawało to złudzenie, że mnich mówi różaniec.

Na ścianie zaś domu, ponad głową figury, wypisano wielkimi literami gockimi:

JUSTUS KNABE

Pater - noster - macher.

Przed tym mnichem, od świtu aż do zmierzchu, stało zawsze grono gawiedzi, podziwiając żarliwość — jego — a nie było wypadku, żeby choć jeden z tych ciekawych nie wstąpił do sklepu i nie kupił sobie różańca.

Razi nas i niecierpliwi dzisiejsza reklama, która się rzuca wszędzie w oczy z natręctwem, nie do zniesienia, — praktykowały ją wieki średnie z lepszym daleko skutkiem.

Na owe godła i szyldy wysiłał się cały dowcip ówczesny.

Pisano wiersze, aforyzmy, modlitwy, nawet obiecywano wyrobienie odpustów, byle ściągnąć kupujących.

Szyldy te i godła bywały dumą rzemieślnika, a trzebaż na to tak podatnej publiki naiwnodziecięcej, jaką była średniowieczna.

Wieśniak lub mieszczuch, przybyły do Krakowa, dzień cały trawił na oglądaniu tych cudów.

Bo i jak tu nie patrzeć!

Oto szyld miecznika.

Widzisz wielkiego draba, ubranego czerwono, jak zmiata łeb Turkowi: co to za stal wyborna być musiał

Szewc, chcąc zachwalić trwałość swego towaru, wymalował człowieka, który w jego butach po rozżarzonych węglach stąpa.

Tam cyrulik odcięte nogi i ręce zlepia do miary.

A stolarze, iglarze, siodlarze, kordybanicy, miechownicy, garnkarze, introligatorzy, pasamonicy, barchannicy, paśnicy: wszystko to rzuca się w oczy i nawołuje do sklepów.

Ten Pater-noster-macher jest to figurka mała, z rudawym włosiem, o kosem spojrzeniu, kulejący na nogę. Twarz jego szczupła i zwiędła bez zarostu. Stąd to i nazwisko Knabe. Rozjaśnia ją tylko kiedy niekiedy szyderyczy uśmiech i nerwowe mruganie lewego oka.

Siedzi przy warsztacie z dwoma pomocnikami i wytacza ziarnka różańca, podczas gdy jego żona zajmuje się sprzedażą.

Jedna izba mieściła wówczas warsztat i skład wyrobów, tak, że kupujący mógł się dokładnie przyjrzeć robocie.

Jejmość pani Knabe jest godną widzenia, i jeżeli mnich kiwający się nad drzwiami ściąga gawieź, to pani ściąga ludzi, co umieją cenić coś więcej, niż manekina.

Jest bowiem niepospolicie piękna.

Typ naszych mieszczan wyrodził się z rasy germańskiej.

Wszystkie nasze miasta to siedziba Niemców.

Taki przybysz, jeżeli nie przywoził żony, brał w małżeństwo córkę tubylca, która także duchem i obyczajem była Niemką.

Prawdziwie polskie rodziny, osiadłe od wieków w Krakusowym grodzie, powstały z ziemian, i te się nie łączyły z obcym żywiołem. Dopiero w dobie silnej reakcji, która przypada w połowie piętnastego stulecia, w dobie pokonania teutonizmu, Niemcy krakowscy zaczynają polszczyć i zlewać się z nami.

Dziś teutonizm obchodzi najświetniejsze swoje panowanie na ziemiach naszych.

Do takich mieszczek z krwi polskiej należała pani Agata, córka Ziemby, mieszczanina krakowskiego, żona Justusa Knabego.

Była ona niejako anomalją w ówczesnych stosunkach mieszczan krakowskich.

To też na pierwszy rzut oka twarz jej ocieśniał pewien smutek i jakby zaduma jakaś.

A twarz to była o czystym, pięknym profilu greckim, jaki się często spotyka między ludem górskim w tych stronach.

Piękne, ciemno-kasztanowate włosy spływały jej w puklach z pod wysokiego czepca w kształcie głowy cukru, wedle mody ówczesnej.

Figura zaś pani Agaty była celem zazdrości wszystkich mieszczek. Uwydatniał bo ją cudownie strój modny owych czasów, obcisły, w którym kształty piękne widniały.

Kto spojrzał na to stadło, wzruszał ramionami i mówił pod nosem:

— Co mogło skojarzyć tak niedobraną parę? Musi w tem być jakaś tajemnica!

Pani Agata miała już lat trzydzieści kilka, była więc w dobie owej Balzakowej piękności, która bywa najponętniejszą.

Mieli jednego syna, który od lat ośmiu swego życia chował się gdzieś zdala od domu. Zresztą było to małżeństwo bardzo przykładne.

Kuternoga Pater-noster-macher, który był mniejszy od żony przynajmniej o pół głowy, towarzyszył jej regularnie do kościoła i z wielką atencją prowadził do cechowej ławki tokarzy, będącej tuż pod amboną.

Mieszkanie ich na piętrze — oprócz izby czeladnej, która była salą jadalną i sypialnią pana majstra od frontu, miało tylko jeden pokój od tyłu, w którym znów był rodzaj salonu i służył za sypialnię pani Agaty. Dzielił je ciemny przedpokój.

A zajmowały te dwie izby całą szerokość domu.

Tak mieszkali prawie wszyscy zamożniejsi mieszczanie; biedniejsi chowali się po strychach.

Miejsca było szczupło.

Rynek krakowski w początkach piętnastego wieku był o wiele mniejszy.

Ten rynek gorzał kilkanaście razy.

Po takiej gorzeli, gdy go odbudowywano, począł rynek rozszerzać.

To też prócz kościoła Panny Marji i Sukiennic, nic się nie dochowało do naszych czasów.

Kto chce sobie odtworzyć w wyobraźni ówczesny rynek, niech popatrzy na drewniane domy w Wiśniczu. Niech je sobie podłuży o wysokość pięter trzech, potem niech zetrze z nich barwę wieków blisko pięciu, niech je upstrzy w rzeźby dziwaczne i malowidła jaskrawe, niech popryczepia do dachów chorągiewki o godłach smoków, jaszczurek, kogutów, niech im da szerokie gotyckie okna o szybach, podobnych do dna butelki, oprawionych w metal i błyszczących światłem drogich kamieni przy jasnym słońcu...

Tak mniej więcej mógł wyglądać rynek krakowski.

Pani Agata gości w swoim pokoju dwie osoby.

Są to nasi znajomi: Sowizdrzał i młody Rudolf.

Chłopak siedzi u stóp kobiety i okrywa jej ręce pocałunkami, ona płacze, rozrzewniona i uradowana.

Jakże jej pięknie z tym uśmiechem wśród łez!

Snadź i nasz trefniś podziela to zdanie, bo

wpatrzył się w ten obrazek i mruży czasem oczyma.

Łzy są zaraźliwe.

— Mam cię, mój kochany, jedyny chłopczel! Już się przecie nie rozłączymy... Ale wstań, chodź, ja chcę patrzeć na ciebie. Mój Boże, jaki już mężczyzna!

I tu znowu łkania radości przerwały jej mowę.

Wówczas Rudolf się odzywa:

— A ty, matko, mów, mów do mnie ciągle! Twoja mowa to dla mnie aniołów śpiew! Ja tej mowy nie słyszałem lat tyle! O, matko moja, matko! ty wiesz, co to jest tęsknota, boś i ty za mną płakała lat tyle... ale ja... ja się trułem przez te lata... ja byłem w piekle. Patrzaj! Kiedyś z ust tego człowieka, już na granicy usłyszał dźwięki naszej mowy, myślałem, że serce mi się w piersiach rozplynie! Bo mowa nasza to ty, matko, to ja w lepszych dniach mego bytu, to całe szczęście moje!

— Jak ty mówisz pięknie i rozumnie — odzywa się matka zachwycona. — Snadź nie nadarmo cię tam uczono, mój synu. O, moje ty skarby, moje radości wszystkie!

Te pieszczoty młodej matki z dorosłym już synem wydawać się mogły patrzącemu z boku, jakby zakochanych parą. Tylko, że uczucie macierzyńskie ma pewien nimbus świętości, który rozbudza cześć i szacunek.

I byłyby trwały do nieskończoności te karesy, gdyby nagle nie ozwały się jakieś głosy z podwórza:

— Till! Till! A gdzie ta bestja się chowa?

Till, pójdźże do nas. Nie wiesz to, że dziś kiermasz na Stradomiu? A chodźże!

Matka i syn spojrzeli po sobie, potem popatrzyli na Sowizdrzała, który siedział najspokojniej.

— No, widział kto taką bestję? Till, czy tam różaniec trzepiesz? Hej, Till!

— Jeżeli nie przyjdiesz, wędzemy się na górę.

— Czekaście, ja go stamtąd ściągnę.

— Till, nie czujesz już zapachu pieczonej baraniny i świdnickiego piwa?

Głósów coraz więcej przybywało. Zdawało się wreszcie, że cała gromada ludzi stoi przed domem.

Rudolf otworzył okno, pani Agata pobiegła doń. Spojrzeli na podwórko: niema nikogo.

Gdy wrócili od okna, Sowizdrzała już nie było.

Zostali sami.

Sztuczka błazna dowiodła delikatności jego uczucia.

Osądził, że nadeszła pora zwierzeń poufnych matki z synem, których obcy słyszeć nie powinien.

Zdaje się, że też na to czekał Rudolf, bo, obejrzawszy się raz jeszcze po izbie i zapewniwszy, że drzwi zamknięte, pociągnął matkę ku oknu i rzekł drżącym głosem:

— Jakże żyjesz, matko, z tym człowiekiem, którego nienawidziłaś zawsze i który ci tyle łez i utrapień sprawił w życiu? Och, uspokój się, teraz ja czuwać będę nad tobą i za każdą kroplę goryczy zażadam od niego porachunku.

— Nie, mój synu. Biadałabym boleśnie, gdyby z twojej przyczyny coś go dotknęło. Nie doznaję od niego żadnej przykrości; było to w początkach tylko. Dziś wiemy dobrze, co każdemu z nas się należy. Jam się zgodziła na los ten, który wlokę, a on przystał na to, aby mnie zostawić w spokoju. Zaniechaj go i mówmy o tobie! Przeważny pan Olderman donosił mi tu zawsze o twoich postępach wielkich w nauce. Pomimo twoich lat młodych, masz zostać *Stokschreiberem* w Hanzie.

— Dobry to, zdaje się, człowiek; pamiętam, jak z miłym uśmiechem głaskał mnie po twarzy i przynosił pierniki. To był najlepszy przyjaciel mojego ojca, mawiałaś, matko.

— Tak, mój synu.

— Lecz powiedz mi, matko, czy ja koniecznie muszę zostać w Hanzie?

— Musisz, mój synu. Ojciec twój należał do Hanzy i ty jesteś w ich rejestrze.

Chłopakiem jakgdyby coś targnęło, zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po izbie.

— Więc jestem ich niewolnikiem! Więc całe życie spędzić muszę na łańcuchu, posłuszny jak pies, ich prawom!

— Niewola to, mój synu, na którą niejedyn by się zamienił. Otwarta ci droga do majątku i dostojeństw. A ty będziesz bogaty i szczęśliwy.

— Nie, matko, szczęśliwym u nich nie będę! Moja dusza wzdryga się na to wszystko, na com patrzył przez lat tyle. Iluż to ludzi padło marnie pod srogością ich praw! Och, prawa to straszne!

— Ciebie one nie dotkną, dziecko moje, nad tobą zawisła opieka potężnego męża i serce matki. Wyrzuc z twej głowy te straszne myśli, jesteś tu przy mnie, a jabym się z samym Bogiem skłóciła, gdyby ci krzywdy domierzył... jabym...

Ten potok niebaczących słów matki przerwał ojciec Detmold, sekretarz Hanzy, który wszedł właśnie.

Pokłonił się pani Agacie z uśmiechem smutnym, mówiąc:

— Zostaliśmy osieroceni. Przeważny pan Olderman wyjechał wczoraj nagle w interesach Hanzy; był bardzo strapiiony, że się z wami pożegnać nie mógł i mnie polecił, abym was uspokoił i pozdrowił w jego imieniu.

— Więc on nie wie — rzekła, zrywając się, pani Agata — nie wie... — Wtem urwała nagle.

— O czym, łaskawa pani?

— Że mój syn już tu. Dziś zrana przybyli razem z Tillem, który go przyprowadził.

Detmold się obejrzał na Rudolfa, jakgdyby go w tej chwili dopiero spostrzegł, i, patrząc nań potem z podeszłą, mruknął:

— Hm, hm! Więc ten młodzieniec z Hanzy?... i opuścił samowolnie kompanję... To nie dobrze.

— A któż wam mówi, że ja samowolnie opuścił? Przybiegłem tu, aby szukać ratunku dla niej. Nie mogłem wiedzieć przecie, że już kantor uwiadomiono.

— Nie wolno niczego się domyślać, ani zgadywać. Wykonywać rozkazy i milczeć.

— Darujcie, wszak on nowicjuszem je-

szcze — rzekła pani Agata pod przykrem wra-
żeniem złowrogiego uśmiechu Detmolda.

— Kto przybywa z Kolonji, ten nie jest już
nowicjuszem. Prócz tego, widzę w was krną-
brność i nieposzanowanie praw. Ten młodzie-
niec wie o tem dobrze, że najprzód winien był
sławić się w kantorze Hanzy i zameldować.

— Tu go wprzód serce ciągnęło — odparła
oburzona matka.

— Niema serca, niema krwi związków wo-
bec praw naszych. Ale wybaczcie staremu zrę-
dzie. No, no... nie patrzcie tak na mnie osłu-
piałym wzrokiem... Te cudne oczy tylko do
rozkosznego uśmiechu stworzone... O! młode-
mu nauczka się przyda — dodał ściszym gło-
sem, przysuwając się ku Agacie i biorąc ją za
rękę, aby wycisnąć na niej lubieżny pocałunek.

Kobieta się wzdrygnęła, a Rudolf zrobił
ruch, jakgdyby go chciał schwytać za gardło
i odciągnąć od matki. Szczęściem, Detmold te-
go nie widział, czy nie chciał widzieć. Kiwnął
mu przyjaźnie głową i rzucił jeszcze w progu
te słowa:

— Pamiętać radzę ustawy.

VIII.

STRONNICTWO.

W gospodzie pod Żółtą lilją, przy Szew-
skiej furcie, zbierali się Hanzeaci.

Dla Niemców knajpa od wieków
była najmilszym miejscem wypoczyn-
ku, a cóż dopiero dla takich, którzy rodzin nie
mieli.

Gospod niemieckich liczył Kraków mnóstwo, nie mówiąc o owych *Schandhausach*, przezwanym później *zamtuzami*, które zawdzięczamy Hanzie.

Dotychczas kryło się wszystko w cieniu, ona uprawiała ten rodzaj przemysłu i rozciągnęła nad nim kontrolę. Tam jej czeladź odpoczywała po całodziennym pracy.

Kontrola wszelaka to od wieków najulubieńsze zajęcie Niemców. Mógł ratusz nie wiedzieć o swoich duszyczkach, Hanza zato wiedziała, co który zjadł na obiad.

Skontrolowano, zarejestrowano nawet śmiecie w podwórzach

Gospoda pod „Złotą lilją” była rodzajem klubu, — nikt tam prócz Hanzeaty wejść nie mógł. Naprzeciwko zaś „Złotej lilji” był Czarny orzeł, gdzie się zbierało stronnictwo luksemburskie, czyli krzyżackie, albo raczej teutońskie.

Gdy się Hanzeata najadł i napił pod „Złotą lilją”, szedł do „Czarnego orła” na kości lub inną jaką grę, albo na pogawędkę w szerszym kole swoich ziomeków i przymierzeńców.

Pod „Złotą lilją” panowała reguła klasztorna. Nie wolno było mówić głośno, nie wolno grać, ani śpiewać. Rozmawiano tylko o całodziennych zajęciach.

Pod „Czarnym orłem” zato kipiało życie.

Rozprawiano głośno o Krzyżakach, o królu Zygmuncie, ich przyjacielu; ubolewano nad ich krzywdą, a często odgrażano się na Litwinów.

A „Litwinem” był dla nich nietylko król Jagiełło, ale każdy jego wierny poddany.

Królestwo Polskie to mocarstwo pod rządami niemieckiego Wilhelma, który zawsze był dla nich prawowitym panem, jako przyrzeczony Jadwidze, — albo pod Zygmuntem Luksemburskim, ożenionym z Ludwikową córką.

W ich mniemaniu, korona polska została wydarta przez Litwinów, skutkiem zdrady panów małopolskich.

Krzyżacy to prawdziwi rycerze chrześcijańscy i obrońcy prawowitych rządów.

Jagięto to poganin i uzurpator.

Takie było wyznanie wiary politycznej ówczesnych mieszczan krakowskich.

Szesnaście lat rządów króla Loisa węgierskiego, prawdziwego przyjaciela teutonizmu, potrafiło zatrzeć w tych głowach pamięć Kazimierza Wielkiego.

Duszno było i ciężko w tej atmosferze dla polskiego ducha.

Nad Krakowem, niby chmura gęsta i ponura, wisiała groźba doszczętnej germanizacji.

Cóż ją rozproszyć zdoła?

Posłuchajmy rozmowy obywateli z pod „Czarnego orła“.

— Nie, dopóki pan Konrad z Jungingen¹⁾ żyje, do wojny z Litwą nie przyjdzie i śledzie nie zdrożeją, ale zato kozuchy będą tanie. Mów, co chcesz, panie Winrich, ta Litwa to dobra ziemia.

— Dobra ziemia, bo to nasza ziemia, niemiecka ziemia.

— Skądże znowu?

¹⁾ Wielki mistrz krzyżacki.

— A kto ich chrzcił? nie nasze pany? A jak my ją ochrzcili, to nasza ziemia i koniec. Mało to niemieckiej krwi się wylało dla tych ju-
chów?

— Prawda; i jeszcze lać się będzie, bo ten Witold...

— Witold jest mądry, Witold lubi niemieckich panów i on im Litwę odda, zobaczycie. Albo on już raz im oddawał? a przecież Jagiełło go zawsze w pole wyprowadził, bo jemu się chciało być królem polskim i Jadwigę oddać Wilhelmowi.

— Więc gadaj, co chcesz, panie Winrich, a Litwa zawszeby była nasza: bo gdyby był Wilhelm królem, toby Litwę dla nas odebrał. Dziś Jagiełło jest królem, a z nim przyszła do nas Litwa. *Ergo*, Litwa nasza.

— Nasza! nasza! — powtórzyli chórem inni.

— Niech diabli wezmą Litwę... piję zdrowie niemieckich panów!

— *Vivant!*

Przy jednym ze stołów siedzi naszych dwóch znajomych Hanzeatów z nad Renu: Folchard i Otbert, a z nimi kuternoga Pater-nostermacher.

Zdaje się, że tych trzech ludzi łączy serdeczniejsza zażyłość.

Dwóch nadreńczyków z rozpromienionem obliczem słucho ciekawie mowy kuternogi.

Jasna i otwarta twarz Folcharda śmieje się. Śmieje się Folchard z całych sił swych płuc. Otbert mu towarzyszy, nie tak serdecznie jednakże, bo czasem z pewnym niepokojem rzuca okiem na opowiadającego.

— Widzicie: pieniądze—mówi kuternoga— to tak, jak kochanka, Wściekaj się za nią, zazdrość, szpieguj ją, zamykaj na rygle, a z pewnością ci ucieknie... ale wybij dobrze i wyrzuć za drzwi, powróci i będzie ci wierna, jak pies.

— Prawda, prawda, jak mi Bóg miły! — woła Folchard.

— Powiedzcie mi, czy który skąpiec do-czekał się z nich pociechy? a przecież je kocha więcej, niż świat cały! Znałem takiego bestję, co żebrakom chleb z torby wykradał.

— A niechże go!

— I cóż powiecie: ograbili go do nitki i powiesił się! Chłopak, który mu usługiwał, stał pode drzwiami i oderznął w porę.

„A ty, drabie — woła skąpiec — zepsułeś mi postronek. Zapłać za niego!

„Wszakżem ja wam uratował życie!”

„Tak, ale powinienesz to zrobić, nie psując postronka!”

— Niepoprawna bestja!

— Więc, moje dzieci — kończył kuternoga — nie należy tak kochać tej mamony. Hej, małmazji jeszcze! małmazji!... Dziś miałem dobry targ.

I tu rzucił srebrny pieniądz, który się aż na ziemię potoczył.

Otbert jakgdyby się wzdrygnął. Wstał śpiesznie, aby go podnieść.

Kuternoga go zatrzymał gestem.

— On sam do mnie przyjdzie. Nie wierzy-cie? Oto patrzcie!

I tu się schylił, szepcząc jakieś zaklęcia, potem się podniósł i kreślił na stole kabali-

styczne znaki. Pieniądz się wgramolił na stół, a ze stołu przywędrował do dłoni kuternogi.

— Czary! Czary! — krzyknął Folchard.

— Nie czary żadne, ale dlatego, że nimi rzucam, więc do mnie idą. A wy myślicie, że pieniądz to takie sobie głupie stworzenie? O, nie, ma on swój rozum, a jeżeli ma rozum, więc ma i duszę. A że ma duszę, więc lubi ludzi tęgich.

— Ej, kumie — rzekł, trącając kuternogę Otbert — dosyć już chyba na dziś będzie.

— Na dziś dosyć, ale do jutra nie wystarczy, a ja dopiero jutro spać pójdę. Wina!

— Zdrowie naszego przezacnego pana, a pana Oldermana Bonara z Ingermanlandu!

— Przedzrowie! — powtórzyli Folchard i Otbert, trącając się w kielichy.

— Teraz już jestem kontent — rzekł kuternoga — teraz mogę spać spokojnie na oba uszy. Prawda, Otbercie? — dorzucił, kiwając i mrugając doń w dziwny sposób.

— Prawda, prawda, ale już wyjdźmy, bo godzina się zbliża. Patrz, już się rozchodzą wszyscy. Sługa miejski uderzył trzy razy we drzwi. Pora.

Kuternoga, podcięty dobrze, dał się wyprowadzić z izby.

Gdy wszyscy trzej znaleźli się na ulicy, Otbert pożegnał Folcharda, coś mu mówiąc, żeby kuternoga nie słyszał, potem wrócił do tego ostatniego i udali się obaj ku rynkowi.

— Cóż ty myślisz, zem pijany? — rzekł Pater-noster-macher, prostując się i patrząc w oczy Otbertowi.

— Pucóż to udawanie?

— Poco? poco? Niech nas mają ludzie za niedołęgów, a my przecież wiemy, jak trawa rośnie... Teraz, do roboty!

I szli przez Bracką, potem skręcili ku Dominikanom, oglądając się poza siebie, czy ich kto nie szpieguje.

Przy świetle lampy, co płonęła u drzwi dominikańskiego kościoła, spostrzegli postać klęczącą w modlitwie głębokiej.

— Ot, głupiec, który nie umie używać darów boskich — rzekł filozoficznie kuternoga.

Otbert przeżegnał się pobożnie i westchnął z głębi piersi, mówiąc cicho:

— Oby nas Bóg nie skarał!

I poszli dalej ulicą Stolarską.

Postać klęcząca podniosła się, uderzyła pokornie w piersi razy kilka i rzekła:

— Złoczyńcy.

Potem podażyła za nimi w ślady, chyłkiem, niby kot, skradający się do myszy.

Przeszli ulicę Mikołajską, aż do samego jej końca, ku murom miejskim.

Tu kuternoga obejrzał się na wszystkie strony, jak i jego towarzysz.

Nic snadź nie dostrzegli, bo pierwszy zapukał mocno we drzwi.

— Kto? — spytał głos z wewnątrz.

— Bracia — odparł głośno Otbert.

Otworzono. Znikli w głębi.

Postać wysunęła się z za węgła domu, popatrzyła, kędy znikli, i powoli powlokła się zpowrotem.

IX.

SIŁA KRWI

Resztki z rozbitej kompanji kolońskiej przy-
były wreszcie do Krakowa cicho pod osłō-
nā nocy.

Po zachodzie słońca nie otwierały się dla nikogo bramy miasta, ale Hanza miała swoje klucze, któremi otwierała wszystko.

Przy świetle tedy białych latarni schowała tych niedobitków w mury Sukiennic, wstydzając się swojej porażki, zalecając o niej milczenie pod najsurowszą karą, aby przez to nie uzuchwalać innych rozbójników i nie dyskredytować związku.

Było to dyplomatycznie, ale nie bardzo zręcznie, bo są rzeczy, których ukryć nie można, a przestrzeżenie co do nich tajemnicy robi sprawę głośniejszą i straszniejszą.

Cichym szeptem do wszystkich uszu dobiegła potworna wieść, zamieniona w nadludzką jakąś legendę, z której sobie sprawy zdać nie zdołano, bo nie wszyscy wówczas mieli pojęcie, co mógł zdziałać proch i na co mianowicie był wieziony.

Zanim też stanęli w murach Krakowa, już stugębna wieść obiegła miasto.

W wielkiej sali radnej związku hanzeatycznego, w Sukiennicach na górze, zebrali się wszyscy dostojnicy i rajcowie, mający roztrząsać wypadek obecny.

Na ich czele zasiadł Olderman Bonar.

Spisano szczegółowo inwentarz ocalonych

przedmiotów, który porównano z takimże inwentarzem, będącym w skrzynce buchfirera.

Ściągnięto protokularnie zeznania świadków katastrofy i odebrano od nich przysięgę.

Skrupulatność niemiecka okazała się w całym blasku, nie przepomniano jednego guzika.

Dziś jeszcze podziwiać można te wzorowe inwentarze i protokoły.

Straty były wielkie, obliczono je na sześć tysięcy talarów, nie licząc prochu, który był komisem przesłanym przez faktorję londyńską dla przewiezienia go królowi Zygmutowi węgierskiemu na Śpiż.

Tym sławnym prochem miał nasz przyjaciel Zygmunt, w połączeniu z Krzyżakami, rozbijać nasze pograniczne zamki.

I tego się też tak bali Hanzeaci.

Puszczono zatem wieść, że piorun zburzył niespodzianie całą karawanę i pozabijał ludzi i konie.

Wolano przypisać całe nieszczęście gniewowi niebios, aniżeli ściągnąć na siebie gniew króla polskiego.

Od gniewu niebios obiecano się wykpić solennemi wotywami i jałmużną daną obficie.

Zabrzmiały też we wszystkich prawie kościołach z ust niemieckich kapłanów modły o przebłaganie gniewu bożego — i wkrótce nikt nie wątpił, że pioruny sprawiły całą tę historję.

Jednakże książętom Oświęcima zaprzysiężono zemstę.

Wszystko to spełniono w ciągu jednego dnia pamiętnego w życiu przezacnego pana Oldermana Reinholda Bonara z Ingermanlandu, który

z dziwną gorączką i niecierpliwością, a nawet pewnem roztargnieniem kierował sprawą ku ogólnemu zdziwieniu i zgorzeniu panów radnych. Skoro też ukończono badania i odmówiono modlitwę, pożegnał lekko zgromadzenie i wyszedł z sali.

Widziano, jak się skierował ku domowi Pater-noster-machera.

Tu, w znajomej nam już izbie, czekała nań pani Agata.

Kobieta zerwała się, gdy go ujrzała we drzwiach, potem stanęła, jakgdyby przerażona.

— Czym się tam zmienił przez te dni parę? Och, bo też przecierpiałem męczarnie! I w piekle nie doznam większych.

— Mój Boże, i to podczas gdy ja tu cieszyła się do zbytku! Na drugi dzień po twoim wyjeździe zesłało mi go niebo.

— Nie powinien jednak być opuszczać placu: to grozi karą wielką. Tylko wiek go od niej uwolnił. Och, ale ci rozbójnicy zapłacą mi za to wszystko sowicie!

Siadł na krzesło, kobieta okryła jego głowę pocałunkami.

— Ileż to pan mój zmartwień i kłopotów ponosić musi! Czemu to ja ich z połowę nie mogę ci odebrać, aby ulżyć ciężarui!

— Dałaś mi więcej, Agato: dałaś mi tego syna, którego kocham z dziwnem, dziwnem przywiązaniem! W nim widzę siebie.

— Och, bo i podobny do was! A choć nie wie, żeś mu ojcem, miłuje cię. Sama natura mówi mu o tem.

— Niechże mu mówi jak najczęściej i najdłużej, kiedy ja mu tego powiedzieć nie mogę!

— Nigdy? — szepnęła niewiasta, przytulając się ku niemu.

— Może kiedyś, gdy śmierć zapuka do drzwi.

— Och, to nie chcę, nie chcę! bo i cóżby się z nami stało?

— Nie mówmy o tem, Agato; jam tu przyszedł nabrać miłości i wesela dla znękaney duszy. Nie myślm y o przyszłości, cieszymy się tem, co nam dziś daje. Patrz, przynoszę ci piękne klejnoty, któreśmy znaleźli w gruzach rozbitej kompanji. Nie należą do Hanzy, więc zabrałem je, jako swój łup. Niech zdobią twoje piękne ramiona.

I tu zawiesił na niej łańcuch Przemysława, wydarty niegdyś baronowi, a zdobiący pierś pani Małgorzaty.

Klejnoty zawsze dziwnemi drogami chodzą.

Przyroda musiała je tworzyć w przekleństwie.

W wiekach średnich każdy drogi kamień, prócz materialnej wartości, posiadał talizman jakiś.

Noszono je na piersiach, niby amulety zaszyte w płótno, bo mówiono, że wzrok zawistnego człowieka odbiera im dużo wartości.

Tak blaski miały dla oczu współczesnych dziwnie magiczny i czarodziejski urok — to też pani Agata stanęła jak wryta, potem pochwyciła łańcuch z szaloną radością i przed zwierciadłem stroić się weń poczęła.

— Matko Boska, jakże się to błyszczy! — zawołała, klaskając w ręce; potem nagle, jak

gdyby się wdrygnęła i przelękała, zerwała go prędko z szyi i położyła na stole.

— Nie, nie, ja tego nigdybym się nie odważyła włożyć na dniu białym, wobec świata. To książećcy łańcuch!

— Schowaj go tymczasem i niech ci szczęście niesie.

— Moje szczęście to wy! Nie... nie, weźcie napowrót te skarby. Dziwny niepokój czuję, gdy je trzymam w ręku. Ja tam w każdym oczku ludzką krew widzę. Darujcie mi, panie! Wszak każdy strzępek, każdy pierścień był mi drogi z rąk waszych... ale tego ja nie wezmę... nie... nie!

— Dziwnaś i kapryśna, Agato. Możesz z nim zrobić, co zechcesz. Wyrzucić go możesz do studni, alem ja moich darów nie zwykłem odbierać.

— Och, tyś dobry i wspaniały. Przebacz! Dotąd każdy twój dar szczęście mi przynosił. Czemuż ten taką trwożę budzi?

— Przywykniesz doń, jak się przywyka do codziennej sukni.

Zapukano zlekka, kobieta pobiegła otworzyć i wszedł Rudolf.

Chłopak się zdziwił, ujrawszy tego sędziego, co niedawno jeszcze w sali Sukiennic badał go jako świadka katastrofy.

Pokłonił mu się głęboko i stanął przy drzwiach, nie śmiejąc bliżej przystąpić.

— Pójdź, chłopcze! Tu-m nie Oldermanem, ale przyjacielem twojej matki i twoim.

Wziął go przyjaźnie za rękę i poprowadził ku oknu.

Kobieta ze złożonemi na piersiach rękoma,

z obliczem w płomieniach, patrzała się na tych dwóch ludzi, tamując oddech w piersiach. Kto-by ją był widział w tej chwili, wyczytałby wyraz najwyższej macierzyńskiej dumy i szczęścia.

Olderman spojrział na nią, wciąż trzymając chłopca za ręce. Widać i jemu coś z uczuć matki się udzieliło, bo poczerwieniał cały, potem, nie mogąc zapanować nad sobą, złożył mimowolny pocałunek na jego głowie i mówił drżącym ze wzruszenia głosem:

— Pragnę być dla ciebie ojcem i zyskać twoją miłość i zaufanie. Powiedz mi więc, chłopcze, czyś zadowolony z twojego losu? Czy masz życzenie jakie?

Gdyby Rudolf był mniej dzieckiem, byłby coś więcej odgadł z tego zachowania się dwojga ludzi. Ale jego na świat poglądy były jeszcze dziewicze, a potem — poważna myśl jakaś zaprzętała mu głowę — spojrział więc w oczy Oldermanowi, a widząc w nich dobroć taką, rzekł, obejmując jego za kolana:

— Dzięki wam składam za waszą opiekę nad mną, panie, ale ja jej nie godzien, bo oto najpokorniejszą prośbą, jakąbym zaniósł do was, mogę urazić łaskawość waszą.

— Mów, chłopcze, śmiało. Młodość ma przywileje mówienia prawdy. Mów, co ci serce dyktuje.

— Darujcie mi więc, panie, ale ja... nie chcę służyć w Hanzie.

Kobieta poskoczyła ku niemu. Olderman brwi mocno zmarszczył.

— Dlaczego? — spytał.

Chłopak zrazu uląkł się strwożonej matki

i groźnej miny Reinholda, ale szybko i stanowczo zapanował nad sobą.

— Dlatego — rzekł z siłą — że kocham swobodę i nie mogę być niewolnikiem.

Jakiś atawizm krwi słowiańskiej zagrał w żyłach chłopaka, a słowa i nauki Sowizdrzała padły na grunt podatny.

— Skąd wzięłeś te myśli, chłopcze? To nie z niemieckiej, ale z jakiejś barbarzyńskiej duszy one wyszły.

— Nie z niemieckiej — rzekł Rudolf poważnie — bom ja nie Niemiec.

— Ty? A czemżeś ty, głupcze?

— Jam Polakiem.

Wyraz ten wprowadził Oldermana w osłupienie. On pierwszy raz go usłyszał. Wiedział, że kraj, w którym żyje, nazywa się Polska, ależ ludzie zamieszkujący to Niemcy, reszta zaś niegodna jest nazwy człowieka, bo kto tylko garnie się ku światłu i chce nim być, musi być Niemcem.

W jego pojęciu Rudolf, schodząc z tego szczebla człowieczeństwa, schodził do błota. To tak jakgdyby dziś ucywilizowany Berlińczyk stawał się nagle Samojedem albo Zulusem.

Wziął go razu za obłąkanego lub pijanego. Popatrzył nań niespokojnie i badawczo, potem rozśmiał się serdecznie i całe to zachcenie wziął za jakieś mary gorączki młodzieńczej. Poklepał Rudolfa po ramieniu.

— Tyś dzieckiem jeszcze, większem nawet, aniżelim się spodziewałem. Tyś Niemcem i Hanzeatą, a tego żadna siła ludzka nie jest cię

w stanie pozbawić. Podziękuj Bogu, żeś takim,
i głupstw nie pleć!

Uścisnął Agatę i wyszedł.

Rudolf rzucił się na ziemię, złorzeczając.

X

WYKŁĘTY

Istniała wówczas w Krakowie można i liczna rodzina Wierzyńków. Byli to synowie i wnuki Mikołaja, podskarbiego Kazimierza Wielkiego.

Starszy, Wawrzyniec, trzymał po ojcu żupy wielickie i był rodzajem bankiera. Do niego to, jak i do ojca, udawał się często dwór w sprawach pieniężnych. Miał dwóch synów i jedną córkę, Elżbietę.

Młodszy, Mikołaj, był kupcem. Prowadził interesy z Wenecją i z Włochami i wysyłał do nich wzamian nasze surowe produkty. Był przytem rajcą miejskim. Miał tylko jednego syna i ten wyręczał ojca w interesach.

Była to rodzina nawskroś polska. Jeżeli do ówczesnej miary umysłów zastosować wyraz niedawno ukuty „patryjota”, to Wierzyńkowie byli takimi patryjotami.

Leżało to w ich tradycji.

Protoplasta rodu przybył do nas jeszcze za rządów czeskiego Wacława, jako sukiennik, i on to pierwszy rozpowszechnił w Krakowie to rzemiosło.

Jeżeli ich panowie i szlachta byli kondotje-

rami, najmowanymi przez Niemców do szarpania nas, jeżeli w głowach ich królów nigdy nie zaświtała polityczna myśl związku z pobratymczym narodem, to zato lud instynktownie żywił dla nas sympatje.

Nasze miasta były zaludnione Czechami nie rzadko. Przez nich płynęła do nas wyższa kultura i oświata. Na ich języku nasz się kształcił, a mówić pięknie po czesku oznaczało wówczas ogładzony umysł, tak, jak dziś po francusku.

Przybysze ci byli wrogo usposobieni dla Teutonów. Poznali oni wcześniej ich rasowe znamiona i przestrzegali przed nimi swoich pobratymców.

Wierzyńkowie byli panami wilekich majątków i stali na czele handlu polskiego.

Z chwilą zawitania do nas Hanzy rozpoczyna się walka.

Walka o byt.

Nie wolno było obok Hanzy prowadzić takiego handlu, jak Wierzyńkowie.

Nie wolno było używać miru i sympatji, nie wolno być wyrocznią w sprawach handlowych.

Trzeba ich zniszczyć.

Z początku szło trudno. Wierzyńkowie od wieku wyrobili sobie zaufanie i liczną klientelę. Wszystkie surowe produkty kraju szły przez ich ręce, a Hanzie głównie chodziło o to, aby je pochwyć.

Na handlu korzennym i zbyt kownym spodziewała się prędko odnieść zwycięstwo, dając go taniej i w większym wyborze, ale tu — niepodobna.

Ofiarowano wyższe ceny, lecz i to żadnego nie zrobiło wrażenia.

— Po staremu niech będzie, jak bywało — mawiał nasz lud, — a potem... Niemca zawsze się bano.

Zdobyła się Hanza na tłumaczów, podejrzowano ich więcej jeszcze.

Potrzeba użyć innych środków.

Trzeba Wierzyków zohydzić w oczach opinji.

A nadarzyła się ku temu wyborna sposobność.

Po ostatniej *Judenhetzy*, która zburzyła całą prawie dzielnicę żydowską, zostały liczne rodziny bezdomnych tułaczy, z których się tłum niemiecki naigrawał i chciał wyświecać z miasta. Tych tułaczy wzięły rodziny polskie w opiekę. Zawięzało się formalne stowarzyszenie opieki nad Żydami, a na jego czele stanęli Wierzykowie.

Mikołaj cały swój dom na ulicy Florjańskiej oddał Żydom, zostawiając im swobodę obrządków i obyczajów.

Tego trzeba było wrogom.

Najprzód puszczo w miasto najohydniejsze wieści.

Opowiadano, jak żona Mikołaja odprawia z Żydówkami kucki, jak sam Mikołaj w nocy przy księżycu modli się wraz z Żydami i pożywa ich mace.

Najczynniejszym agentem Hanzy w rozsiewaniu takich pogłosek i podburzaniu umysłów był Pater-noster-macher.

Jego sklep odwiedzały wszystkie dewotki.

Kuternoga ze zręcznością iście jezuicką umiał rozdmuchać w płomień najdrobniejszą iskierkę.

Władza duchowna, nagabywana takimi wieściami, upominała surowo pana Mikołaja, aby Żydów ze swojego domu wypędził.

— Nie wypędzę, boć ludzie, nie psy! — odrzekł sierzciście Wierzynek.

Sprawa stanęła na ostrzu miecza.

Nareszcie, gdy doniesiono kościołowi, że za ciałem zmarłego temi czasy Żyda, widziano, jak szedł Wierzynek na mogiłki, rzucono nań uroczyście klątwę.

Wierzynek — wyklęty!

Wiecież, co to w owych czasach znaczyło: klątwa?

To — zagłada!

Taki człowiek nie istniał dla społeczeństwa.

Wolno go było zabić, jak psa, wyrzucić, zniszczyć dom jego, mienie, nawet rodzinę.

Wielki to był triumf dla Niemców.

Dzień ten nazwany był przez nich *glücklicher Tag*.

Do tego wyklęcia zebrano się z całą uroczą pompą.

W kościele Panny Marji biskup, ubrany *pontificaliter*, otoczony dwunastu prałatami, trzymając w ręku zapaloną świecę, stanął na stopniach wielkiego ołtarza.

Zabrzmiął ponury śpiew psalmu: *Deus laudem meam*.

W jedną tylko stronę głównego dzwonu zaczęto bić, powoli.

Każde jego uderzenie to ostry grot w serce nieszczęśliwego.

Zabrzmiał wreszcie uroczysty głos biskupa:

„Wyklęty jest Mikołaj Wierzynek!

„Przeklęty niechaj będzie w domu i na dworze, przeklęty w mieście i na roli, przeklęty niechaj będzie siedząc, stojąc, jedząc, pijąc, robiąc i śpiąc; przeklęty niech będzie tak, że w nim zdrowego członka nie będzie, od wierzchu głowy aż do stopy nożnej!

„Niechaj wypłyną wnętrzności jego, a ciało jego niechaj robactwo roztoczy!

„Niechaj będzie przeklęty z Amazjaszem i Zaphirą, niechaj będzie przeklęty z Judaszem zdrajcą, niechaj będzie przeklęty z Abironem i Datanem, których ziemia żywo pożarła, niechaj będzie przeklęty z Kainem mężobójcą; niechaj mieszkanie jego będzie opustoszone, niechaj będzie wypuszczony z ksiąg żywiących i z sprawiedliwymi niechaj nie będzie pisany i pamiętka jego na wieki niechaj zaginie!

„Niechaj na ostatnim sądzie przeklęty będzie z djabłem i z anioły jego, i na wieki niechaj zginie, jeżeli się nie upamiętał!”

Słuchacze zdrętwieli ze zgrozy.

A gdy biskup trzymaną świecę zgasił, rzucił i podeptał, jakoby na znak, że wyklęty tak zgasnąć powinien w pamięci kościoła i ludzi, głęboki jęk rozległ się w kościele i głośnie szlochanie z polskich piersi.

Umierał im dobroczyńca i przyjaciel.

Kapłani chórem ponuro wyrzekli:

— *Fiat! fiat!*

I Wierzynek pogrzebany, *jeśli się nie upamięta.*

To *jeśli* było furtką, zostawała droga ratunku.

Jaka?

Trzeba było odbyć pielgrzymkę do Ziemi świętej, a wracając, u stóp papieża błagać odpuszczenia, co na jedno wynosiło prawie:

Być zabitym tu przez pierwszego lepszego fanatyka, czy też przez piratów na morzu, albo rozbójników na lądzie.

Wybierając się w taką drogę, robiono testament.

Zrobił go Wierzynek, ale gdy opieczętowany pergamin składał w ręce małżonki, padła ugodzona paraliżem, aby nie powstać więcej.

Zamiast w podróż, udał się na cmentarz.

Zdruzgotany tak straszliwie, poczuł całą wagę pocisku i siły swego wroga.

Dla niego nie było wyjścia.

Bo choćby nawet odbył pielgrzymkę do grobu świętego, uzyskał przebaczenie i wrócił szczęśliwie, to czy złość niemiecka nie wynajdzie dlań nowego pocisku?

Postanowił oddać synowi wszystko i skryć się przed obliczem ludzkim.

Wyszedł z domu złamanym starcem z długą brodą, choć miał lat pięćdziesiąt parę — i pod osłoną nocy zapragnął odwiedzić swoich przyjaciół i sprzymierzeńców.

Pierwszym był Ziemba z Kleparza, ojciec pani Agaty.

Wierzynek wybrał go, jako nieprzejednanego wroga Niemców.

Był to starzec krzepki i przysadzisty, potężnych barków, z obliczem typowem polskiego

kmiecia, o rysach zgruba wyciosanych, ale pełnych powagi. Włosy przystrzyżone nad czołem i długi wąs, brwi krzaczaste, z pod których błyskał wzrok niebieskich oczu.

Takim wyobrazilibyśmy sobie kołodzieja z Kruszwicy.

Ziembra prowadził proceder miodowy i woskowy z dziada pradziada.

Miał sam liczne barcie i skupywał z najdalejszych stron.

Dorodna jego córka, Agata, pokochała Niemca, Reinholda Bonara, Hanzeatę, który od Ziembry brał towar. Uciekła z rodzicielskiego domu i wzięła z sobą przekleństwo ojca.

Tu zapukał Wierzynek.

— Bóg z tobą.

— I z tobą, bracie!

— Idę się tułać po świecie. Nie siądę, nie wypocznę pod twym dachem, bom przeklęty. Nie dotknę twojej dłoni, by ci nieszczęścia nie przynieść. Odchodzę... pamiętaj o moich. Bądź zdrów! Może posłyszysz o mnie.

Ziembra patrzył nań długo, potem chmurny wzrok spuścił w ziemię, jakgdyby walkę staczał; postąpił krok ku niemu, znów się cofnął— wreszcie rozwarł szeroko barczyste ramiona, uściśnął gościa i za stołem chciał sadzić.

— Dom mój i serce — twoje! Przestałem wierzyć w klątwy, co je niemiecka nienawiść zażęgła.

— Nie, bracie, za stołem twoim nie siądę, bo nie chcę, abyś dzielił mój los... Ja cię proszę o opiekę nad dzieckiem.

— Będziesz ją miał.

— Bogu cię oddaję!

— I ja ciebie!

Gdy za wyklętym zamknęły się podwoje, Ziemia padł na kolana przed ukrzyżowanym Chrystusem, wznosił ręce do góry i taką wygłosił modlitwę:

— O Chryste mój, Zbawicielu świata! Za wszystkie łzy moje i rozpaczę daj mi dożyć kiedyś wesela, daj mi dożyć, o Panie, chwili triumfu nad gądem, co trapi lud nieszczęsny, daj mi dożyć, o Panie, albo zabierz mnie już do siebie! Amen.

Starzec leżał jeszcze długo krzyżem na ziemi i płakał rzewnymi łzami.

XI

FALSZERZE

Ludzi, wyjętych z pod prawa, noc kryła swoim płaszczem bezpiecznie.

Municypalność spała na oba uszy.

Nikt się nie poważył wyjść wówczas na ulicę, trzeba było kohorty całej pachołków z latarniami i łuczników.

Chodzili tylko rabusie i żebracy, lub ci, dla których życie i bezpieczeństwo niewiele było warte.

Dom, w którym zniknęli jednej nocy Otbert z kuternogą, stał przy końcu ulicy św. Mikołaja i opierał się o gruby mur miejski.

Był to niepozorny mały budynek parterowy z facjatką. Nad drzwiami wisiała na długim

haku beczułka, okuta w świecące obręcze, mająca być szyldem bednarza.

Dzielnica ta składała się z samych takich klatek, trzymających się murów i baszt miejskich. Zwano ją też Podmurzem. Tutaj mieściło się to wszystko, co w samym mieście, ze względu bezpieczeństwa albo zbytniej obrazy nosów, oczu i uszu pomieścić się nie mogło, np. kowale, ślusarze, alchemicy, — słowem, mający do czynienia z ogniem; dalej garbarze, oprawcy, kownały i t. p.

Noc pochmurna i dżdżysta. Z poza szpar okiennicy jednego z okien domku przedziera się słabe światło.

Zbliżyła się jakaś postać i puka we drzwi.

— Kto? — spytał głos z wewnątrz.

— Brat — odpowiadała przybyły.

Drzwi się otwały i ten sam głos zapytał:

— Sam? — Lecz zaledwie spojrział na przybyłego, cofnął się przerażony.

— Kto wy? Czego chcecie?

Przybyły wydobył w milczeniu sztylet i błysnął nim przed oczyma człowieka.

— Rozbój, zdrada! — zakrzyczał przerażony.

— Milcz, bo zginiesz!... Głupczel ty nie rozumiesz, że wszystko odkryte, i że twoje życie na włosku? Milcz, jak grób, jeżeli się chcesz zasłużyć sprawiedliwości.

— Sprawiedliwości? O panie, panie! — jęczał człowiek, padając na kolana pod magnetycznym spojrzeniem nieznanego. — Nie gubcie mnie, jam nie winien! Po śmierci starego

alchemika najałem ten dom, nie wiedząc o tej Sodomie. Wciągnięto mnie mimo mej woli!

— Wierzę. Włos ci z głowy nie spadnie, gdy mi będziesz posłuszny. Otóż słuchaj, Janie Pokorny, nie powiesz ani słowa nikomu, że tu był! Od twojego milczenia bezpieczeństwo twoje zależy. Gdy słowo piśniesz, zgubiony jesteś tej chwili. Gdy zamilczysz, włos ci z głowy nie spadnie.

— Uczynię wszystko.

— Prowadź mnie do warsztatu.

Przełękły człowiek wziął lampę i drżący udał się naprzód.

Szli przez wąski korytarz, przewodnik otworzył jedną izbę, w której obok rozmaitych sprzętów i utensyljów stała w kącie niewielka szafa. Otworzył ją ostrożnie, w szafie wisiały suknie, schylił się, nacisnął sprężynę i dno szafy odskoczyło.

Pod szafą okazał się otwór, dalej schody.

Schody te wiodły do małej okrągłej piwnicy, zawalonej beczkami różnej wielkości; z piwnicy wychodziły drzwi na ulicę, na którą, aby się dostać, trzeba było iść po schodkach do góry.

Na środku piwnicy stała wielka kadź wkopana w ziemię, niby studnia napełniona wodą mętną. Przewodnik wyjął z kadzi czop, który był urządzony z boku. Woda wyciekła do małego rynsztoka — i tu przybyły ujrzał dno, prawie na łokieć tylko od powierzchni. Odsunął rygiel. Dno było drzwiami, przed którymi ukazały się znów schody i temi schodami zeszli do głębszej piwnicy.

Tu ujrzał przybyły wielki komin, wykuty

w fundamentach muru miejskiego, który snadź łączył się z kominem domu. W kominie stał mały piecyk do topienia metalu. Przy kominie miech kowalski. Obok komina stała szafa z półkami, na których narzędzia, jako młotki, obcęgi; duża flaszka stała na szafie. Z drugiej strony komina było małe kowadełko, a przy niem parę młotów. Po kątach gdzie niegdzie walały się jakieś stare pergaminowe księgi z kabalistycznymi znakami. Na stole kilka monet, stempli i forma do odlewania, naczynia szklane z jakąś cieczą, cała podłoga zaś zasypana opiłkami metalu, który się skrzył przy odblasku lampy.

Przybyły zbliżył się do stołu, wziął jedną z monet i popatrzył.

— Talary Hanzy — szepnął do siebie, potem się przyjrzał stemplom.

Przewodnik patrzył na przybyłego, jakgdyby mierzył siłę jego muskułów, potem zamyślił się głęboko, jakgdyby ważył, co mu przedsięwziąć wypada.

Nieznajomy bacznie go śledził.

Gdy wreszcie obejrzał wszystko po szczególe, stanął przed Janem i rzekł z powagą i dobitnie:

— Wszystko ma zostać po staremu. Ty masz milczeć, a oni niech dalej prowadzą swoje rzemiosło, inaczej biada ci, Janie Pokorny! Znam wszystkie twoje sprawy. Uległością i posłuszeństwem możesz zmazać winy.

Pokorny się skłonił głęboko i chciał mówić, gdy nieznajomy nakazał mu milczenie i wszedł na parę szczebli, przysłuchując się u otworu.

— Pukają. Idź, otwórz im, a ja tymczasem wyjdę z górnej piwnicy na ulicę. Masz klucz?

— Oto jest.

— Dobrze. Pamiętaj!

I podczas gdy Jan udał się na górę, aby otworzyć przybyłym, nieznanym poczekał przy drzwiach piwnicy, a gdy obliczył, że tamci weszli do domu, otworzył drzwi, potem je zamknął starannie i znikł w ciemności nocnej.

Dwaj przybyli są to kuternoga z Otbertem.

— Zaspałeś, stary niedołęgo! — mówi pierwszy — a nam tu na deszczu i na wietrze wcale niewesoło.

— Nosilem beczki do piwnicy, a przecież stamtąd słyszeć nie mogłem waszego stukania.

— Do tej roboty masz dzień cały, a nocą czuwać trzeba, głupcze! Przypatrz mu się, Otbertcie, jak on szczególnie dziś wygląda. Tyś pijany, niedołęgo?

— Hm, niby trochę — wybąknął bednarz.

— To tak spełniasz swój obowiązek?

— A cóż u licha, to i napić mi się nie wolno? Nie dość, że dla was zaprzedałem duszę, jeszcze mi tego odmawiacie!

— Duszęś zaprzedałem nie nam, tylko diabłu, w chwili, gdyś utopił swoją żonę; teraz nam służyć musisz, panie Janie Pokorny, i zatoś dobrze płatny.

— Płatny, płatny! za pieniądze nie kupisz sumienia.

— Tfu, co ta bestja plecie?

— Przestań — rzekł, trącając towarzysza, Otbert — darmo czas tracimy; północ wybiła.

— No, idź spać, Jasiu... a zapomnij o sumieniu.

Poczęli iść po schodach.

— Chętniebym się tej bestji pozbył. Gdyby tak Józef dał się nakłonić...

— Porzuć go. Nie dosyć, że już nas trzech w tej sprawie?

— Czterech — szepnął Pokorny, który zamiast snu, jak mu to zalecił kuternoga, puścił ucho za nimi.

— Czy myślisz, żebym go tak zostawił? — mówi ciszej kuternoga. — Ot, upieklibyśmy go w tym kominie, a potem zażrzebali gdzie pod murem...

Weszli do pierwszej piwnicy i zbliżyli się do kadzi.

Kadź była otwarta.

— Patrzajże, ta bestja tu była pomimo mego zakazu! Czegóż on tu mógł chcieć?

— A gdyby nas zdradził? — spytał, chwytając za rękę kuternogę Otbert.

— O to się nie boję. Jego zbrodnia jest mi rękojmią.

— Darują mu.

— Świętokradztwa? nigdy! Z zabójstwa żony by się wykpił, ale z kradzieży poświęconych medali i relikwji to trudniej.

Weszli do dolnej piwnicy.

Otbert zdjął ubranie wierzchnie, towarzysz jego uczynił to samo.

Pater-noster-macher rozpalil ogień.

Otbert zbliżył się do stołu.

— Wszystko poprzewracane! — rzekł. — Słuchaj, Justysie, ja mam złe przecucie. Ten

nędznik wydał mi się dziś jakimś dziwnym. On tylko udawał pijanego.

— Przekonamy się o tem; teraz do roboty.

Ogień buchnął, metal się topił. Potem nalewano go w formy, skąd wychodził w kształcie monety.

Każdy taki pieniądz Otbert znów ogładził i opiłował, potem pociągnął jakąś cieczą jedną i drugą, a wreszcie wpuszczał do skórzanego worka.

Robota szła wprawnie i zreźnie.

Trzecie kury już piałły, gdy fałszerze poczęli się wybierać do odejścia.

Wyszli wreszcie i nim otworzyli drzwi, z sieni prowadzące na ulicę, wstąpili do izby bednarza, który spał snem twardym. Przy łóżku stała flaszka.

Kuternoga zaśwycił mu w oczy lampą, drugą ręką wydobył puginał i zamierzył się na śpiącego. Bednarz ani drgnął, ale chrapał w najlepsze.

— Bądź spokojny — rzekł do Otberta. — Ale pije bestja. Trzeba mu zagrozić surowo.

Odeszli, zgasiwszy światło.

Bednarz się podniósł na łóżku i mocno odetchnął.

XII.

GOSPODA ZIEMBY.

Młody Rudolf objął urząd Stockschreibera w Hanzie.

Było to ważne stanowisko.

Stockschreiber odbierał surowy produkt od dostawców. Miał obowiązek przekonać się o jego jakości, mierze, wadze i podług opinii płacono za towar.

Takiego urzędnika miała sobie Hanza wyhodować.

To też miał słuszną starą ober-furman kołońskiej kompanji, gdy usłyszał Rudolfa mówiącego po polsku, że w tem musi być tajemnica Hanzy.

Oficjalistą takim musiał być członek, mówiący dobrze językiem krajowym a przecież nie Polak, ale Niemiec.

Młodzieniec, napojony zrazu całym wstrętem i niechęcią do związku, musiał wreszcie poddać głowę pod jarzmo obowiązku, a wdroywszy się weń, znalazł go wkrótce nietylko znośnym, ale przyjemnym.

Miał do czynienia od rana do wieczora z ludem, mieszczaństwem polskim i szlachtą.

Główny śpichlerz Hanzy stał we Florencji dawniejszej, czyli dzisiejszym Kleparzu.

Tam to Rudolf odbierał zboże, skóry, wełnę, len, konopie, воск, potaż, smołę i t. p. produkty.

Na Kleparzu roiła się cała ludność okoliczna,

jak i dziś się roi. Targi i jarmarki kleparskie gromadziły wówczas do kilku tysięcy ludu.

Jak Kraków żył cały i oddychał niemczyzną, tak znowu Kleparz był nawskroś polskim.

Miasto było rozległe i ludne, choć je ustawicznie palono, bo było zawsze pastwą wrogów, co się rzucali na Kraków.

A ten Kraków patrzył się nieraz obojętnie z za swoich murów i baszt, jak płonęło jego dziecko, i widział z zadowoleniem egoisty, jak wrogowie, obciążeni łupem i jeńcem kleparskich mieszczan, odstępowali od jego murów.

Tam też, na tym Kleparzu, najdzielniejsza mieszkała ludność.

Nasz bohater był tu w swoim żywiole. Tym językiem, który tak kochał, mógł mówić i myśleć, a do tego po rynku kleparskim uwijał się co dnia Sowizdrzał.

Trefniś zapoznawał młodzieńca z całym ustrojem społeczeństwa, z obyczajem, życiem i tem wszystkim, co w niem tętniło.

Tutaj-to obijały mu się o uszy wieści niedalekiej walki z krzyżactwem i całą teutońską hydrą. Wieści te były zrazu głuche, potem się stawały coraz wyraźniejsze i głośniejsze.

Lica gorzały ogniem i pobrzękiwano kordem.

Czuć tu było całą lawę wewnętrzną wściekłości i wiekowej zemsty za wszystkie krzywdy nasze.

Rudolf słuchał tego wszystkiego i młoda krew kipiała w nim wrzątkiem, — i stawał się coraz bardziej dzieckiem tej ojczyzny, sam nie wiedząc nic o tem.

Poznał on prędko, czem to dla nas zaborczy

i drapieżny genjusz Teutonów. Wiedział, jak tam orężem a tu kulturą swoją i przemysłem wyciskają krew z narodu i żyją jego sokami, zawistni przytem chwały i powodzeń tej ziemi. Odgadł ich nieludzką i egoistyczną politykę — a zestawienie przyszło samo z siebie i nasuwało się na każdym kroku.

Po skończonej robocie, nad wieczorem, kiedy zamykano już sklepy, Rudolf nie szedł nigdy do miasta, aby w gospodzie pod Żółtą lilją zażyć wypoczynku, albo pod Czarnym orłem zabawy, ale szedł z trefnisiem do miodosytni Ziembry.

Na szyldzie domu wymalowany był wielki niedźwiedź czarny, wybierający miód z barci. To stare godło utrzymało się po dziś dzień na naszych miodnych zakładach i kto wie, czy nie staremu Ziembie winniśmy jego dowcipną inwencję.

Była to obszerna bardzo izba drewnianego budynku, podparta filarami, które szły dosyć gęsto we dwa rzędy bliżej ścian głównych, tworząc środek próżny, niby aleję.

Poza stołami, ustawicznymi pod ścianą, siedzieli gęsto mieszczanie i kmiecie, racząc się wybournym trunkiem.

Poważny Ziembra rzadko się zjawiał w gospodzie, wyręczając się liczną czeladzią i synem. Nie usłyszałeś tu niemieckiej mowy, bo Ziembra znieść jej nie mógł, — a i żaden Niemiec przyjąć się tu nie kwapił, przekładając nad nasz trunek swoje świdnickie lub wrocławskie piwo.

Był pamiętny dzień dla mieszkańców kleparskich.

Oto nadbiegły do Wawelu dziwne wieści. Stary mistrz krzyżacki, Konrad Jungingen, umarł, na jego miejsce wybrano młodego jego siostrzeńca, Ulryka Jungingena, tchnącego nie-pohamowaną chęcią boju i srogą dumą.

Mówiono o wypowiedzeniu wojny Polsce i o wtargnięciu Krzyżaków do ziemi dobrzyńskiej.

— Wojna więc! — powtarzają wszystkie rumiane i wąsate usta mieszczan kleparskich, pomiędzy którymi zjawił się za gościnnym stołem i sam gospodarz.

Ale od wypowiedzenia tej wojny do samej akcji jeszcze bardzo daleko. Lato jeszcze upłynie i przyjdzie zima i nie jedno polskie serce pęknie z żalu i boleści, nie jedna głowa spadnie.

Dziś się wojna wypowiada i w tydzień niespełna stoją pułki na polu bitwy, — dawniej lata upływały, nim je zorganizować a cóż dopiero zgromadzić można było.

Ale, że serca polskie skore zawsze oddać się nadziejom i radości, więc i tu puszczono im wodze i bito Niemców na miazgę.

Sowizdrzał śpiewał znaną wówczas piosenkę:

Idzie Witold po ulicy,
Niosą za nim dwie szablisy.

— Niech żyje książę Witold! — huknęły głosy.

— Ten ci zajada Niemców, jak półgęski!

— A nie ma-ż ku temu słuszności? Nie je-
muż to Krzyżacy wymordowali dzieci, spotwa-
rzyli matkę!

— Niech żyje król Jagiełło!

I pozdejmowano czapki i uroczyście przepi-
jano zdrowie stryjecznych braci.

— Cześć świętej pamięci królowej Jadwi-
gil! — zawołał gospodarz.

— Cześć, cześć po wieki!

— Pozwólcie teraz, że i ja wzniosę toast —
rzekł Rudolf, powstając z pełną szklanicą
w rękę.

— Co zacz? — pytano.

— Jakiś młokos.

— A no, słuchamy.

— Ale gdzież przed starszymi?

— Niech mówi! — krzyknął Sowizdrzał. —
Choć głowa u niego nie łysa, ale w niej śmieci
niema. Mów, Rudolfie.

— Niech żyje Polska, mądra, wielka i po-
tężna! Niech się jej lękają wrogowie i szanują
przyjaciele i oby nigdy nie potrzebowała uczyć
się rozumu od Niemców.

— Mądrze!

— Dobrze powiedział.

— Hura! młody, ale stary.

— Krew Ziembów, krew Ziembów! — krzy-
knął Sowizdrzał.

— Coś powiedział, błażnie? Jaka krew? —
spytał gospodarz.

— Wasza, wasza, toć to wnuk.

— Tfu! bodajesz zmarniał. Ja nie mam
wnuka.

— Wnuk wasz, jakem syn mojej matki, Ka-

tarzyny Odrzykołek, krew z krwi, kość z kości
kleparskie dziecko!

Staremu krew uderzyła do głowy i posunął się groźnie ku trefnisiowi, podczas gdy ten wziął za rękę zdziwionego Rudolfa i wyprowadził go na środek.

— Przesacni i sławetni panowie! Ten młodzieniec, który tak pięknie a gorąco przemawia za Polską, nie jestże godnym być jej synem i czy każdy z was nie szczyliłby się takim potomkiem?

— Oczywiście! — krzyknęli kupą. — Zaczyna krew! dobra krew!

— A oto widzicie, że stary pień tego rodu wypiera się swej krwi.

— Bodajżeś przepadł! Gadaj do rozumu! — krzyczał Ziemba — skądżeś go wytrzasnął?

— Syn waszej córki Agaty.

— Ten? — krzyknął Ziemba, zbliżając się ku Rudolfowi. — Mojej córki?... Ja nie mam córki, błaznie!

— Choćbyście się sto razy jej wyparli, to ot ten tu kłamstwo wam zada. Czyż tak przemawiać może Hanzeata, wychowany wśród Niemców, gdyby nie był waszym wnukiem? Dziadowska krew przez niego gada! To się znaczy, że oskrobiesz mnie z wierzchu, jak ci się podoba, będziesz mnie karmił kluskami i poił piwem, ubierzesz w swoje suknie, będziesz mi nawet w głowę wbijał jak ćwieki swoją mądrość. Wywieziesz mnie tam, gdzie się chmiel po tykach wije; ale tego, co jest we mnie, niczem nie zgłuszysz i nie wyrugujesz!

— Mądrze, mądrze!

Stary Ziemba stał osłupiały, wpatrując się w Rudolfa. Miotają nim naprzemian różne uczucia: to gniew na Sowizdrzała, to wstyd, to wreszcie podziw i jakby iskra współczucia dla chłopaka, który nie wiedział, co z sobą począć. Wreszcie się odezwał Rudolf:

— Jeżelić jam rzeczywiście wnukiem waszym, toć pozwólcie, że ręce wasze ucałuję.

I tu postąpił ku odurzonemu starcowi.

— Przekląłem...

— Moją matkę... wiem o tem. Aleć może ja będę tym, co naprawi jej błędy. Nie brońcie mi waszej dłoni, dziadzie! Ona już odpokutowała za swoje.

— No, no, dalibóg, mówi dobrze! — ozwały się głosy.

— Uściskać takiego!

— Przebaczcie dziecku, które nic nie winno.

— Czemuż ona z nim nie przyszła? — mruzczał starzec.

— Dużoby wskórała! — odrzekł Sowizdrzał. — A toć nie bądźcie gorszym, niż się wydajecie!... Wargi wam drżą pod wąsem a oczy się zaczerwieniły... Pocóż tu dłuższej mitręgi! Nam bo tu wszystkim już się chce zapisać tę sprawę, a wy wciąż mitrężycie.

— Bodajesz przepadł, Odrzykołku niegodziwy!... No, jakieś mój wnuk, to i pójdz do dziadowskiego serca! Gdybyś był Niemcem, nie spojrzełbym na ciebie, choćbym cię widział w błocie. Aleć takim... biorę cię.

I starzec otworzył drżące ręce, aby krow swoją przytulić.

Dopieroż posypały się grzmoty śmiechu, radości i winszowań, i uścisków. Pito słodki miód, gdy do izby weszła poważna i wysoka postać Wierzyńska.

— Wyklęty... wyklęty — szeptano i powtarzano z ław.

— Nie obawiajcie się — rzekł przybyły — nie zasiądę z wami za stołem. Przychodzę tylko przestrogi jednej wam udzielić: Nie bierzcie talarów Hanzy... bo są fałszywe.

XIII.

GŁÓWKA Z OBRAZU FRA-ANGELICA.

Bezdomni tułacze, których przygarnęli polscy mieszczanie i dla których Wierzynek padł ofiarą, wciąż doznawali pieczołowitej opieki.

Gdy surowe przepisy kościelne wzbronily mieszczanom krakowskim trzymać Żyda pod swoim dachem, przenieśli się Żydzi na Kleparz i tam ich goszczono.

Kleparz, to nie Kraków.

W ten sposób obchodzono przepisy.

Ale z jakim przestajesz, takim się stajesz.

Nie można bezkarnie żyć z ludźmi pod jednym dachem, karmić się ich strawą z jednej miski i dzielić kęsem chleba, aby ich za to nie polubić, a polubiwszy, nie współczuć z nimi, nie myśleć ich myślami, nie czynić ich czynami.

To miłosierdzie, które im okazano kosztem swego bezpieczeństwa, ta gościnność, z jaką ich

przygarnięto, zrodziły w dzieciach Izraela wdzięczność, a nie mogli jej inaczej okazać, jak stając się podobnymi do swoich dobroczyńców.

Jęli więc chwalić Boga chrześcijan wraz z nimi i tłumnie, nie nagabywani, nie zachęcani, przechodzili na ich wiarę, i świat średniowieczny dziwnemu się przypatrywał widowisku, dziwniejszemu stokroć, niż przed kilku laty, kiedy Litwinów chrzczono.

Tam widziałeś dzikich synów natury, odzianych w skóry, przyjmujących z wodą chrztu iskrę światła, które ma im otworzyć wstęp w podwoje cywilizacji. Tu poważnych mężów o szlachetnym obliczu ze swojemi małżonkami, nadoznanymi córkami i synami.

Nie było dnia, aby do kościoła nie pukała gromadka ludzi, a ci ludzie, to Żydzi w towarzystwie swych chrestnych ojców i matek.

A każde z rodziców chrestnych niosło ze sobą suknię, aby zrzuciwszy z neofitów żółtą, hańbiącą, w nową ich przystroić.

Nigdy jeszcze Kościół nie obchodził takiego triumfu, ale też nigdy mniej na niego nie zapracował...

W kościele Panny Marji obchodzono najsołenniej akt chrzcin.

Prowadził neofitów Wawrzyniec Wierzynek, brat wyklętego Mikołaja, wraz ze swoją żoną, synem i córką, tylko co wyszłą z klasztoru, Elżbietą.

Było to dziewczę ośmnastoletnie, ale z twarzą takiej anielskości i dzieciństwa, jakie się spotyka na obrazach średniowiecznych mistyków.

Wychowanie ówczesne klasztorne tworzyło z tych młodych pączków lilje czystości i nadało wyrazowi ich twarzy ów seraficzny nieziemski wyraz.

To ciągle zatapianie się w świętych przedmiotach i oderwanie od rzeczywistości, gdy potem wrócić do niej trzeba było, odbijało się w ich rysach jakimś zdziwieniem niewinnego dziecka.

Zatruty oddech świata nigdy tam poza tę kratę klasztorną się nie wśliznął.

Bo i czem to były te klasztory średnio-wieczne?

My dziś nie pojmujemy ich ekstazy, ich dewocji — a dzisiejszy klasztor mniszek, ze swoją najostrzejszą regułą, nie da nawet słabego pojęcia o klasztorze piętnastego stulecia.

Dziś mniszka, przyłożywszy ucho do zamku swej celi, posłyszy głosy kipiącego i gwarzącego miasta, a te głosy przyniosą do jej mózgu myśli, ideje, obrazy i to wszystko, czem ludzkość żyje i co się w niej odbywa...

Do klasztorów ówczesnych nie dochodziło żadne echo, bo zwykle wysuwano je na ubocze i obwarowywano murem grubszym, niż fortecę.

Światem dla nich całym i niebem były mistyczne malowidła świętych i męczenników płci obojej, do których się modliły w dzień i w nocy — w ekstazie, która dochodziła do tego, że czartom lub katom, malowanym na obrazach, wydrapywały oczy i biły w nie ostremi narzędziami.

Cóż takie świat i życie na nim obchodzić mogło?...

Elżbieta była wychowanką takiego klasztoru.

Na harfie jej uczuć nie drgnęła dotąd żadna nuta, prócz wzniosłych hymnów modlitwy.

W pochodzie przed wielki ołtarz, dokąd po wysłuchaniu katechizacji, do chrzcielnicy Żydów powieść miano, prowadziła ona za rękę rówieśnicę swoją, Rachelę, wnuczkę Jonatasa Hira, najuczenniejszego z Żydów krakowskich, zaręczoną niegdyś Józefowi Lewiemu, spalonemu na stosie przez poświęcenie dla ojca.

Dziad jej był ślepym osiemdziesięcioletnim starcem i tak wielkiego szacunku używał w mieście, że go zostawiono w spokoju, pod opieką starszego Wierzyńka na Mikołajskiej ulicy.

Wnucze dał błogosławieństwo, ale sam został w domu, oświadczając, że w wierze ojców chce umrzeć, bo Kościół już żadnego zeń pożytku mieć nie może.

W tłumie, który napelniał kościół, znalazł się i Rudolf — i trzebaż szczęścia czy nieszczęścia, że oczy chłopca, wodząc bezmyślnie po przesuwających się przed nim twarzach, spoczęły na Elżbiecie Wierzyńkównie.

Trzymała ona w ręku książeczkę i z niej mówiła modlitwę. Była to nowość na owe czasy. Książeczkę tę napisała i ułożyła dziewczyna, niegdyś student akademji — Nawojka, dziś ksieni klasztoru Benedyktynek.

O książeczkę tę dobijano się później, jak o relikwię, i szczęśliwa była mieszcza, która ją posiadać i czytać z niej mogła.

Dziś dostała się ona najpierw Wierzyńkównie, jako najlepszej z uczennic klasztoru.

Bo też Elżbieta była jedynym w swoim rodzaju zjawiskiem.

Rudolf osłupiał. Zdawało mu się, że św. Katarzyna, przed której ołtarzem przed chwilą mówił modlitwę, zesza z obrazu.

Mimowoli złożył ręce i patrzył wciąż w próżnię tylko, bo pochód, który się przesunął przed nim z Elżbietą, już zbliżył się do chrzcielnicy, gdzie dokonywano obrzędu.

Ocknął się wreszcie i pobiegł tam, rozpychając tłumy, które przecież ani karceniem, ani łajaniem nie potrafiły opamiętać odurzonego.

Stanął naprzeciw dziewczeczki i utopił w nią swoje pałające, szafirowe oczy, jakby chcąc usilnie zmusić, aby i ona nań spojrzała... co się i stało.

Spojrzała, uśmiechnęła się zdziwiona, potem pokraśniała i spuściła oczy w ziemię.

Rudolf usłyszał, jak ksiądz pytał się o jej imię i nazwisko, i jak mu odpowiadała drżącym głosem:

— Elżbieta, Wierzyrkowa córka.

I jeszcze raz spojrzeli sobie w oczy, lecz tym razem Rudolf spuścił swój wzrok i jakgdyby chciał w mózgu swoim uwiecznić to cudne widziadło, nie podnosił go chwilę — a gdy podniósł, widziadło znikło.

Pochód posunął w kruchtę, gdzie neofitów przybrano w nowe szaty, a dalej uprzejmy Wierzynek zaprosił wszystkich na ucztę.

— Wierzyrkowa córka! Mój Boże, jakaż ona piękna! — myślał Rudolf, wracając z kościoła, jak pijany. — Zdało mi się, że to jakaś

święta. Więc są na świecie takie dziewice, do świętych, albo do aniołów podobne?

I szedł w ulicę, którą się udał pochód, i stał długo przed domem, w którym zniknęli, aż go obudził z zadumy szyderczy śmiech ojczyma.

— Ha! ha! ha! I nad czem tak myślisz? Czy chcesz ten dom kupić, żeś się tak weń wpatrzył i liczysz każdą belkę? Dobrzeby było wydrzeć i to tym polskim świniom... niechby nie ważyli się stawać z nami do walki.

Rudolf wstrząsnął się cały, jakby przed ukąszeniem gadu; popatrzał przytem okropnym wzrokiem w cyniczną twarz Pater-noster-machera i ścisnął pięść tak mocno, że zatrzeszczała.

— Kogo nazywasz polską świnią?

— A ot tego tam Wierzyńka, brata tego wyklętego gałgana, co chcieli się próbować z Hanzą... I jego taki sam koniec czeka.

— Słuchaj!—rzekł Rudolf z wściekłością— gdybyś nie był mężem mojej matki, wtłoczyłbym ci te słowa napowrót do gardzieli i połamał te resztki czarnych zębów w pysku. Nie waż się powtórzyć tych słów więcej... Pamiętaj!... bo wtenczas nie będę już uważał na związki, co nas łączą.

— O ty odmienne przelęty! To tak? więc ty ich stronę trzymasz i nalczysz do Hanzy. Poczekajże, dowie się o tem ten, komu należy o tem wiedzieć.

— Kpię z niego, tak jak i z ciebie, nędzniku. Precz z moich oczu!

— Oszalała bestja, oszalała! — wołał kuter-noga. — A toż ta Agata potwora ma jakiegoś, nie syna!

Na wspomnienie matki młodzian się upamiętał. Stało mu odrazu w myśli całe niebezpieczeństwo nieszczęśliwej kobiety, kochanej nad życie, i utrata łaski człowieka, który się nim tak dobrotliwie zajął, a z którym matkę łączył jakiś serdeczny stosunek, o ile mógł odgadnąć.

— Racście przebaczyć — wyrzekł stłumionym głosem do kuternogi — ale dlaczego znieważacie ludzi tak zacnych i przecie krewnych mojej matki?

— Twojej matki, głupcze? Oni nie chcą znać twojej matki, że poszła za Niemca, za mnie, Justusa Knabego, majstra najszlachetniejszego rzemiosła, jakie istnieje na świecie! Oni się brzydzą nami, a ty śmiesz stać w ich obronie? Hej, upamiętaj się, chłopcze, bo nie zajedziesz daleko! Zgubisz siebie, swoją matkę i zmarniejesz... Wiem ja o twoich sprawkach. Tam na Kleparzu pokumałeś się z nimi. Nie przychodzisz do gospody, ani pod „Czarnym Orłem” nie bywasz, gdzie każdy prawy Hanzeata i dobry Niemiec uczęszcza... I czego ty chcesz od tych nędznych gałganów, którzy prędzej czy później z torbami wyjść muszą i zginąć pod płotem? Świat cały do nas, do Hanzy, do Niemców należy. Precz z tem śmieciem!

Rudolf słuchał tej mowy, drżąc z gniewu naprzemian i obawy. Byłby z rozkoszą zdusił obmierzłego szczekacza, gdyby ten, niestety, nie był jego ojczymem. Pożegnał go też prędko, tłumacząc się obowiązkiem, i nie słyszał już jego szyderczych słów, które za nim ciskał.

— Boże mój, — myślał — gdyby się dało

wyrwać moją matkę z tych szponów szatańskich, gdyby się dało wrócić ją do tego szlachetnego ogniska!... gdyby — i tu znów nabiegła mu do wyobraźni cudna postać dziewczeczki, z książką w rękę... w glori jakiejś nadziemskiej.

Po chwili wrócił myślami do matki i postanowił ją nakłonić, aby szła przebłagać starego swego ojca i zbliżyła się do świata, który syn tak ukochał i w którym mu było tak dobrze.

Gdy się skierował ku Rynkowi i przechodził koło Sukiennic, zawołano nań, aby się stawił u Oldermana.

XIV.

KŁOPOTY.

Przezacny pan Olderman von Bonar gościł u siebie figurę głośną w ówczesnym świecie. Był to wielebny ojciec Jan von Falkenberg, Dominikanin, sługa Krzyżaków, ich polityczny agitator.

Pod tą skromną suknią mnicha dominikańskiego zakonu kryła się postać wielkiej gadziny na żołdzie krzyżackim.

Walczył on przeciwko nam pamfletem, potwarzą, oszczerstwem, byle zohydzić i rozjątrzyć.

Jest on zapowiedzią „gadzinowej prasy”.

Wybrał się w podróż po europejskich dworach, aby namawiać je do wojny z nami w przy mierzu z krzyżactwem.

Do Krakowa przyjechał, aby się zapewnić o wiernopoddańczych uczuciach Hanzy dla

swoich protektorów i zbadać stan umysłów Niemców krakowskich.

Podjmowany hojnie przez wrogi nam żywioł i zniemczone duchowieństwo, miewał nawet kazania w niemieckim kościele Panny Marji.

Olderman był dla niego z całym wylaniem i czołobitnością.

Trwały z tym mnichem konferencje przy drzwiach zamkniętych, dość długie dla tłumów, które czekały przed Sukiennicami, aby otrzymać błogosławieństwo wielebnego ojca.

Wielebny chodził z swoim podskarbisem, który niósł dość ciężki worek — a w worku były medale miedziane z wizerunkiem Wielkiego Mistrza zakonu, deptającego pogańską bestję, i z napisem: Defensor Mariae.

Dostać błogosławieństwo i medalik było szczytem pragnienia Niemców krakowskich.

Przy podaniu takiego medalika słyszano te skromne wyrazy:

— Bądźcie wierni zakonowi.

Wówczas odbierający kładł jedną rękę z medalikiem na piersi, a w drugą brał dłoń wielebnego i do ust przyciskał.

I to się działo pod okiem króla polskiego.

Po ten skromny datek zgłosił się i Pater-noster-macher, z prośbą najpokorniejszą, aby wielebny pozwolił mu zrobić reprodukcję i sprzedawać wraz z różańcami.

Prośba, za wstawieniem się pana Oldermana, została przyjęta i otrzymał pozwolenie.

Uszczęśliwiony Kraków dowiedział się, że

medalików nie zbraknie, gdy worek podskarbiego się wypróżni.

Tak wybitna osobistość, jak ojciec Falkenberg, powinna być — spopularyzowaną.

Zajęła się też tem Hanza gorliwie. Nie miało wprawdzie na usługi sztychów, litografji, ani fotografji, ale byli domorośli van Dyckowie i Holbeinowie i oto Sukiennice zawieszono portretami jego wielebności.

Fabrykowano je po dwa, trzy talary. Szkoda, że zań czasu stał je na miazgę i nie mamy śladu, jak wyglądała ta sympatyczna dla nas figura.

Przejdziemy też nad nią do porządku dziennego, a zajmujemy się naszą Hanzą.

Aby wylizać się ze strat, poniesionych przez zniszczenie kompanji kolońskiej, podniesiono kolosalnie ceny towarów. Kraków kłął, narzekał, płakał wreszcie, ale płacił, bo ich potrzebował.

Zmniejszono miary i wagi.

Tu wszczął się spór z ratuszem.

Od wieku miał on wmurowaną w ścianę, nietykalną miarę, podług której musiano regulować wszystkie miary, i od wieku też — bo jeszcze za Łokietka — na wielkim żelaznym łańcuchu wisiała przed ratuszem waga, z ciężarami na włos wyważonymi.

Hanzie podobało się je zmniejszyć.

Zawrzała wojna.

Tłumy pokrzywdzonych otaczały ratusz, żądając, aby powagą swoją powstrzymał nadużycia Hanzy.

Wysłano ceklarzy i dziesiętników do Han-

zy. Hanza dziesiętników i ceklarzy odparła swymi halabardami.

Zapozwano ją przed sąd ławniczy.

Ratusz okazał uchwały i postanowienia królewskie.

Hanza przemówiła talarami i została przy swoich miarach i wagach.

Wtem gruchnęło po mieście, że Hanza bije fałszywe pieniądze...

Talary jej okazały się — cynowe.

Popłoch, wrzawa, złorzeczenia. Wszystko to, co ma jakie talary, leci do kantoru, żądając wymiany.

Hanza płaci polskimi złotymi i tynfami, a talary wycofuje z kursu.

Mimo to, wszelki przywóz ustaje.

Sekretarz Detmold znów nakreślił kilka wierszy cyfr i wysłał wraz z listami Oldermana.

Tymczasem zabrano się do wykrycia fałszyżerzy.

Podłej monety okazało się dotąd dziesięć tysięcy.

Suma była wielka na owe czasy!

Mincarz Hanzy, Ruprecht, dał orzeczenie, że trzeba tak głupiego bydła, jak w Krakowie, aby, wzięwszy ten pieniądz w ręce, odrazu nie poznać się na jego wartości.

Tak się zwykle mówi, gdy wiadomo, co trzymać o danym przedmiocie.

Ale co przynosi zaszczyt jego bystrości, to odkrycie, że pieniądze te nie w Krakowie, ale w Norymberdze są bite.

Utrzymywał, że w Krakowie takich stempli

zrobiłoby nie umiano, a potem i cyny takiej nie znajdzie...

Zaproszono biegłych, między którymi znalazł się naturalnie Pater-noster-macher.

Ten, z całą pewnością znawcy, przychylił się do zdania Ruprechta mincarza i radził rozpocząć śledztwo w Norymberdze, dodając, że miasto słynie zdawna z pokątnych fabrykantów.

Słuchano poważnie tego wyводу biegłych ludzi, ale wprzód jeszcze postanowiono zapowiadać w Krakowie, czy się coś wykryć nie da.

Do roboty tej między innymi znów wybrany został nasz kuternoga, jako znający miasto i jego stosunki.

Tak upływały tygodnie — a w miarę, jak śledztwo się posuwało, coraz gęściej płynęły fałszywe talary, które Hanza jeszcze wypłacała.

Nareszcie bezczelność fałszerzy doszła do zenitu, a śladu dotąd — żadnego!

W owych wiekach nie rozumiano jeszcze owej manipulacji śledczej, tak wykształconej za naszych czasów. „Pieniądz się toczy — mawiano — a któż wie, gdzie jego początek i jak się dostał do ręki”.

Hanza znalazła się w kłopotach.

Po dziesięćkroć otrąbiono na rynku wielką nagrodę za wykrycie fałszerzy. Wysłano ostrzeżenia do wszystkich miast hanzeatyckich.

W takich to ciężkich tarapatach był pan Olderman, gdy wprowadzono doń Rudolfa.

Zmierzył on młodzieńca badawczem spoj-

rzeniem, potem skinał nań, aby siadł przy nim, nie spuszczać zeń oczu.

— Niekontent jestem z ciebie, Rudolffie. Zawiodłeś moje oczekiwanie.

— W czem, panie? — spytał Rudolf spokojnie, odgadując odrazu przyczynę gniewu swego opiekuna po rozmowie z ojczymem. — Spełniam sumiennie obowiązek, jakiście na mnie włożyli, a że nie mogę być niczem innym, jak tylko sobą, że nie potrafię przewyciężyć swojej natury, to przez to, sądzę, że nie popełniam żadnego występku. Jestem takim, jakim mnie Bóg stworzył.

— Milcz, zuchwalczel! — odrzekł gniewnie Olderman. — Nie możesz być sobą, bo nikt na tym świecie sobą nie rozporządza. Każdy z ludzi musi się poddać władzy wyższego, a i ten wyższy ma nad sobą najwyższego, a nad najwyższym jest Bóg. Jesteś sługą związku, on twoim panem, twoim mistrzem! Dla niego, przez niego egzystujesz i dla niego tylko pracować, czuć i myśleć powinieneś. Co znaczy twoje pobratanie się z wrogami Hanzy? Jest-że to czynem rozumnego i oświeconego człowieka przestawać z nieokrzesanymi, ciemnymi ludźmi i wraz z nimi miotać obelgami na nas, na Niemców, którzyśmy panami świata?

— Ci ludzie są połączeni ze mną węzłami krwi. Ciągnie mnie ku nim nieprzeparta siła przyrodzenia. Dlaczegoż mam ją tłumić w sobie? Ja tak dawno byłem pozbawiony widoku matki, ja nie znałem nigdy ojca mego. Ja kocham mój język, którym do mnie w dzieciństwie mówiono. I dlaczegoż, dlaczegoż, pytam

was, ma mi być to odjęte? Wszak każdy, choćby najnędzniejszy człowiek kochać coś musi! Ja kocham to wszystko i kochać będę, choćby mnie to życie kosztować miało!

Olderman patrzył w twarz chłopca, opromienioną zapałem, i doznał nie bardzo miłych wrażeń, zwłaszcza kiedy ten mówił o związkach krwi. Podniósł się prędko z krzesła i ujął Rudolfa za rękę, jakgdyby go chciał przekonać, że i między nimi zachodzą podobne związki; ale przekonawszy się z boleścią, że tych związków młodzieniec nie odczuwa bynajmniej, padł na krzesło i pograżył się w niemej zadumie.

Dlaczegoż mu nie powiedział, czem jest dla niego?

Czemu zamknął przed nim swoje uczucia, które mu tak żywo w sercu tętniły? Czemu się pozbawił tej rozkoszy?

Hanza pod karą śmierci zakazała swoim członkom wchodzić w związki małżeńskie z córkami tubylców, ale nie wzbronila pokątnych związków, a dzieci nieprawe nie miały żadnego znaczenia, nie brano ich wcale w rachubę.

Świat średniowieczny płodził takich istot bez liku. Od najwyższych do najniższych sfer roilo się od bękartów, skazanych na żywot najopłakańszy, bo okrutne ustawy nie troszczyły się o nich wcale. Czuć dla takich coś więcej prócz litości, połączonej z pogardą, uchodziło w oczach ludzi współczesnych za rodzaj słabości kary godnej.

Gdy ojciec spotkał takie dziecko, zęgnął się i bił w piersi ze skruchą.

Otóż tej słabości wstydył się pan Olderman — a powiedzmy na jego pochwałę, że chłopca kochał namiętnie.

Być posądzonym o miłość dla swojego bastarda i przyznać się doń przed całym światem — toby zachwiało jego powagę na wieki. Wolał więc tłumić w sobie to wszystko, co mu przepełniało duszę, i widzieć, jak syn jego całą potęgą młodego serca przyłgnał do obcego i wstrętnego mu żywiołu, aniżeli otworzyć przed nim prawdę.

Bolał okropnie nad tą apostazją młodzieńca, ale miał nadzieję ją zniweczyć.

Wśród tej walki i zadumy wszedł pocichu stary sługa Luder o kocie m spojrzeniu i ruchach i szepnął panu coś do ucha.

Olderman się zerwał.

— On, tu? Ważne odkrycie? Wprowadź. A ty, chłopcze, odejdz... i pamiętaj, że ci grozi moja niełaska, jeżeli się nie zmienisz!

XV.

BRUDERSCHAFT.

Pod „Czarnym orłem“ obchodzono uroczyste Bruderschaft.

Były to śluby przyjaźni wiekuistej, zaprzysiężonej uroczyste pomiędzy dwoma mężami wobec duchownego.

Prastary ten zwyczaj wzięli Niemcy od Sło-

wian, a przekształciwszy go na swój sposób, zostawili nam w spuściźnie.

„Braćmi ślubnymi” byli Folchard i Otbert. Obydwóch wydała jedna ziemia i jedno miasto nadreńskie — Kolonja; byli podobni do siebie, jak jednej matki dzieci; razem się uczyli, razem przybyli do Polski. Ukochali się wzajemnie — dlaczegóż nie mogli się połączyć bruderschaftem?

Wielka jednak różnica charakterów dzieliła tych dwóch ludzi i stąd naturalnie większa siła przyciągająca ich spoiła.

Folchard był otwartą naturą, łatwo zapalną. Uczucia u niego wylewały się niepowstrzymanie, ale i szybko słabły.

Otbert zaś był wyrachowanym i skrytym, z umysłem przewidującym, a przytem zabobonnym. Folchard gotów był dla przyjaciela do największego poświęcenia; Otbert, gdyby miał się poświęcić, musiał wprzód zważyć i obrać. Folchard nie miał przed przyjacielem żadnych tajemnic, życie swoje czyste mógł odsłonić i pokazać w zwierciadle; Otbert krył się z niem starannie, a przyjaciela zbywał krótko: Po co ci o tem wiedzieć? To też Folchard nie badał i nie nalegał, bo miał przekonanie, że przyjaciel wszystko, co robi, robi dobrze i po Bogu.

A „po Bogu” było dla niego kardynalnym warunkiem. Nabożny więcej, niż inni jego współtowarzysze, dochodził nieraz Folchard do szału, bicząc plecy, susząc i poszcząc, bez ustanku zajęty praktykami religijnymi, których ówczesny ustrój dostarczał obficie — tak, że

mu te praktyki blisko połowę życia zajmowały. Modlił się nieraz gorąco za swojego grubego Otberta, jak go nazywał, i wierzył nieomylnie w jego umysłową wyższość, poddając się jej nieraz bez szemrania i bez oporu.

Zato znów bywały chwile, że czysta i bogobojna dusza Folcharda wywierała swój wpływ na przedsiębiorczego, obliczającego a nie przebiegającego w środkach Otberta.

Byli oni obydwaj starszymi czeladnikami, czyli jakby — po dzisiejszemu się wyraziwszy — subjektami. Oni dostawali towary, oni naznaczali cenę i prowadzili rachunki dzienne. Folchard miał prawą stronę kramic, Otber lewą. Każdy z nich znów miał pod sobą młodszej czeladzi dwudziestu i po dziesięciu terminowych chłopców.

Otóż Folchard był niejako busolą, kierownikiem sumienia swojego towarzysza. On rozcinał wątpliwości, gdy szatan złego nagabywał Otberta, i póty go molestował, póty przekonywał, aż wreszcie tamten, śmiejąc się niby, a w gruncie pod grozą słuszności i prawości — ustępował.

I byliby ci ludzie życie całe przeżyli z sobą, jak bracia, gdyby nie szatan, który wszedł między nich i z tej pary uczciwych nie zrobił szelmowskiej spółki — we trójkę.

Tym szatanem był Pater-noster-macher.

Były, są i będą zawsze istoty, które, niby pająki trujące, z zdrożności ludzkich pokarm ciągną. Całym ich zadaniem w życiu — wietrzenie zgnilizny. Gdy ją zwietrzą, rzucają się na nią, jak hjeny, i ona ich tuczy.

Mąż nadobnej Agaty, której sprzedał swoje nazwisko, dostrzegł w młodym Otbercie namiętną żyłkę zubożenia się. Nic łatwiejszego, jak rozdmuchać tę żądzę, i nic łatwiejszego, jak młodą niedoświadczoną głowę zapomocą różnych szkiełek odurzyć i pociągnąć — bodajby do przepaści.

Zamiar fałszowania monety to ulubione marzenie kuternogi. Szukał on tylko współnika i taki współnik się znalazł, a znalazł się właśnie taki, który przewyższał jego oczekiwania: któżby mógł, któżby śmiał podejrzewać — Otberta!

Gdy go wciągnął, począł grać na strunach jego brudnych chuci swobodnie i już nie uczciwy Folchard, ale on kierował jego sumieniem; aby zaś uspić czujność nabożnego i szlachetnego towarzysza, wysilali się obydwaj na pochwały i uwielbienia dla dobrodusznego nadreńczyka, rozpływali się nad każdym jego słowem i czynem i niemal już kanonizowali go za życia.

Jeżeli jakiś niesumienny postępek oburzył Folcharda, wówczas kuternoga czołgał się przed nim na kolanach, bił się w piersi i wołał:

— O święty! o niepokalany człowieku! kiedyż my biedni, ślepi, ułomni godni będziemy rozwiązać rzemyk u twojego obuwia!

Rozbudzali próżność w poczciwym, lecz niedaleko widzącym młodzieńcu.

Folchard płakał, bił się w piersi, ubolewał, lecz wreszcie patrzył przez szpary i przystawał na wszystko.

Postanowili wreszcie związać go ślubem

uroczystym braterstwa, a potem wyznać mu prawdę i przystąpić z nim do spółki.

Mistyczne owe śluby nakładały na obu warunki nie łatwe do spełnienia.

Trzeba było brać połowę winy na siebie za brata. Gdy hańba jednego dotknęła, drugi mimowoli podlegał hańbie. Krzywda była wspólna. Za śmierć brata mścić się trzeba do końca życia a nawet jeszcze przekazywać zemstę synom lub braciom i siostram. Bronić brata przed całym światem był to obowiązek najsurowiej i najświęciej zalecony.

Prócz tego Folchard był lubiany i ceniony przez całą służbę Hanzy.

Jak widzimy, przewidujący kuternoga ukuł sobie z tych dwóch ludzi niby tarczę, niby wał obronny przeciw pociskom, gdyby kiedy nań spaść miały.

Tymczasem za fałszywe talary gromadził złoto, które składał w kryjówce swojej piwnicy.

Postanowione było, że gdy uzbierają spory majątek, wówczas wszyscy trzej puszczą się z greckimi kupcy do Carogrodu a dalej okrętem do Wenecji.

Już to los złodziei w dawnych wiekach nie był godziem zazdrości, to nie dzisiejsi aferzyści, kantorowicze, wytrychiści i wszelkiego rodzaju złoczyńcy, których zdobycz da się zrealizować w paru świstkach papieru i których para zanoszą na drugą półkulę świata.

Dawni złoczyńcy nie mogli zamienić swojego łupu na papiery, ale najwyżej na złoto i klejnoty. Obładowanemu złotem trudno było uciekać — a i ucieczka ograniczała się do niewiel-

kiego skrawka ziemi. Prawda, że policja prawie nie istniała, ale przecie prędzej czy później złodzieja odszukano, bo się zdradzić musiał. Nielada więc umiejętnego lawirowania trzeba było użyć, aby zawinąć do bezpiecznej przyszłości.

Obrzęd braterskich ślubowin odbył się z całą pompą.

W przeddzień uroczystości dwaj bracia ślubni spowiadali się, nazajutrz wysłuchali uroczystej wotywy i komunikowali, a ojciec Dietrich, wikary i kaznodzieja u Panny Marji, wygłosił naukę o miłości braterskiej i ku wielkiemu zbudowaniu słuchaczy, podnosił do zenitu dwóch dzielnych mężów, klejnot Hanzy niemieckiej, a następnie odebrał od każdego z nich przysięgę na wiekuiste braterstwo.

Dopieroż zawrzała uczta.

Niemcy w zabarwieniu zabawy są wymyślni i przyznać im trzeba, że zawsze przytem i pożytek mają na celu.

Hanza, gdzie się pojawiła, zakładała towarzystwo strzeleckie łuczników, pod nazwą Papagej. Dzielność strzały zależała na strąceniu papudze czubka na głowie. Z tej papugi narodził się później nasz kurek.

Otóż na dziedzińcu gospody pod „Czarnym orłem” odbywały się ćwiczenia. Kto strącił papudze koronę, bywał królem tak długo, dopóki go drugi z tego urzędu nie zepchnął.

Dziś ex re tak wielkiej uroczystości zebrało się na Papagej całe mieszczaństwo niemieckie Krakowa; trzeba było wydrzeć godność królewską gospodarzowi z pod „Czarnego orła”, Got-

liebowi, który dźwigał ją już dość długo, a z której nie chciano go zwalniać, bo obowiązkiem króla było karmić i poić — któż lepiej mógł to czynić od oberżysty? Pudłowano więc nieraz umyślnie.

Tym razem fortuna uśmiechnęła się Otbertowi i uroczyście obwołano go królem, a był on ostatnim na tym tronie, jak się z toku powieści pokaże.

XVI.

KUPCY.

Człowiekiem, który wszedł do komnaty Oldermana, był wyklęty Wierzynek.

Stał w progu i rzucił badawcze spojrzenie na Niemca, który, z szeroko otwartymi oczyma z podziwu, czekał na pierwsze jego słowa.

Przez chwilę milczeli obaj, mierząc się wzajemnie wzrokiem.

Olderman spostrzegł tak wielką zmianę w osobie przybyłego, iż ten zauważył to jego zdumienie i odezwał się pierwszy:

— Ledwieś mnie poznał, Oldermanie! a przecież niedawne czasy, gdyśmy się po raz ostatni widzieli... Pamiętasz? przyszedłeś mi ofiarować pokój i zgodę, a jednocześnie kopałeś pode mną przepaść...

— Ja? Tyś ją sam wykopał pod sobą, niebaczny. Lecz po co tu wznawiać rzeczy zapomniane! Czego żądasz?

— Zapomniane dla ciebie... Och, ale kiedyś

gorzko wspominać je będziesz, bo Bóg jest sprawiedliwy i niepodobna, aby go tak podejść można bezkarnie, jakżeście wy go podeszli!

— Cóż to, grozisz? Raz jeszcze pytam: po coś tu?

— Ni z groźbą, ni z prośbą przychodzę do was, potężni panowie kupcy; przychodzę zrobić interes, w którym korzyść cała będzie po waszej stronie. Bo oto złożyło się tak, że ja chcę wam oddać przysługę.

— Ty? My nic nie przyjmujemy od przeklętego.

— Od przeklętego? hal ha! ha! — zaśmiał się szyderczo Wierzynek. — Więc musicie zdjąć ze mnie tę klątwę.

— My? Czyśmy biskupem?

— Nie graj-że komedji ze mną, Oldermanie. Wszakże tu jesteśmy sami, a Ten tam w górze, co nas słucha, zna najtajniejsze serc kryjówki. Klątwa padła na mnie za waszem staraniem i przez wasz wpływ zdjeta być musi.

— I jakaż to ma być przysługa, którą nam oddać pragniesz?

Wierzynek nie przestał śmiać się szyderczo.

— Otóż takim cię widzieć chciałem, Oldermanie.

— Bez słów próżnych. Jaka przysługa?

— Wielka, bo chcę was ocalić od ruiny.

— Ty?... Wiesz o fałszerzach monety?

— Wiem.

— I odkryjesz ich?

— Jak klątwa będzie zdjeta, tego samego dnia zaprowadzę was w miejsce, gdzie schwytacie złoczyńców.

— A jakąż mi dasz rękojmię?

— A jakiejż chcesz rękojmi od człowieka uczciwego, niewinnie spotwarzonego przez was? Spójrzij mi w oczy, Oldermanie! Myśmy kupcy i znamy się na cenie rzetelnego słowa. Czyś mnie kiedy złapał na oszustwie?

— Nigdy — rzekł Olderman, spuszcżając wzrok przed Wierzynkiem.

Po chwili zaś dodał:

— Padłeś ofiarą interesu, tak nam nakazywała taktyka kupiecka. Wy nie umiecie się bronić, a my idziem... choćby po trupach. Trzeba ugiąć przed nami głowy a nie stawać na drodze. Wasz handel zgiął i już się nie podniesie. Nasz zawładnął światem.

— Jeszcze nie zawładnął, Oldermanie, i nie daj Boże, aby kiedy miał zawładnąć!

— Mówisz o Moskwie? Kto ma Nowogród, temu i Moskwa otworzy swoje bramy.

— Mówię o sumieniu. Wyście sobie powiedzieli, że wszystko kupić i że wszystko sprzedać można. I udawać wam się to będzie do czasu, ale przyjdzie chwila, gdzie, aby być w zgodzie z tem szatańskim prawem waszem, kawał własnego serca oderwać i rzucić przyjdzie... boć i wy ludźmi jesteście, choć nimi być nie chcecie... Wtedy co? wtedy powstaną w duszach obrażonych i deptanych ludzi furje zemsty... i te was pożrą, bo nic się tak nie mści na człowieku, jak obrażone prawa człowieczeństwa, których niczem nie kupisz, i których tak łatwo nie sprzedasz...

— Ha! ha! ha! Ot, brednie małodusznych i ciemnych ludzi...

— Gdy odkryjesz fałszerzy, już się tak śmiać nie będziesz, Oldermanie.

— Więc sądzisz?... — urwał prędko i zerwał się z siedzenia, przystępując z trwogą do Wierzynka.

— Nic nie sądzę... Czy ugoda stanęła? Kiedy klątwa zdjęta ze mnie zostanie?

Olderman popatrzył w twarz wyklętego, jakby się chciał jeszcze zapewnić o rzetelności słów jego, potem rzekł po chwili:

— Za trzy dni.

— Prędko prowadzicie interesy. Za trzy dni dotrzymam, com obiecał.

— Jakim sposobem?

— Stawię się tu nocą. Wyślesz ze mną ludzi, jakich ci się podoba, i udamy się do jaskini złoczyńców.

— Podaj mi rękę.

Wierzynek ją cofnął.

— Ręki wyklętego dotykać się nie godzi, Oldermanie.

Wierzynek chciał wyjść, lecz nagle, jakgdyby sobie coś przypomniał, przystanął. Potem postąpił aż na środek izby, skinął na zdziwionego Oldermana, aby się doń zbliżył, i rzekł zcicha:

— O naszym przedsięwzięciu nikt, ale to nikt wiedzieć nie może, prócz nas dwóch... pamiętaj!

Gdy Wierzynek wyszedł, Niemiec długo jeszcze patrzył na drzwi w ponurem zamyśleniu, potem, jakgdyby zbierając w myśli słowa, które mu wyklęty wygłaszał, mówił do siebie:

— Któż są ci zdrajcy?... Nikt prócz nas dwóch wiedzieć o tem nie może? Byliżby to...

Wstrząsnął się nagle, jakby od ukąszenia żmiji.

— Toby było okropne! Ha, zobaczymy.

Potań ręką czoło, rzucił się na krzesło i znów mówił:

— Sumienie... sumienie. Głupi człowiek. Własne serce rzucić na ofiarę ustawom Hanzji! Gdzie idzie o jej byt, o jej dobro, tam serce w rachubie być nie może.

I chodził niespokojny, mierząc izbę tam i zpowrotem.

— Odkryjem zdrajców! Inaczej będę mówił, gdy ich zobaczę... Ha! piekło! ta myśl, jak świedrem straszny, wierci mi głowę.

W tej chwili drzwi się otworzyły i weszli do komnaty Otbert i Folchard, niosąc klucze i bilans dnia całego.

Olderman ich lubił, miał do nich zaufanie, nie taił się przed nimi z tem, co dotyczyło interesów związku, z wyjątkiem rzeczy sekretnych, więc i teraz, gdy ich zobaczył, odzyskał dobry humor na chwilę i już miał na ustach wykrzyknik: „Pożądana wieść”, gdy nagle rzucił okiem na drzwi i cała postać Wierzynka złowroga, tajemnicza, z palcem na ustach, stanęła mu przed oczyma...

Urwał przeto, skinął im uprzejmie głową na dobranoc, a gdy wyszli, znów się pogrążył w zadumie i dopiero świt letniego ranka, zagładającego przez okrągłe szybki jego okien, obudził go z odrętwienia.

Zgasił światło, otworzył okno i wychylił się na ulicę.

Cisza ranka, przerywana tylko świegotem ptactwa zbudzonego i okrażającego wieżycę Panny Marji...

Wtem z za kościoła wyłoniło się dwóch ludzi i dążyło przez Rynek ku Sukiennicom.

Poznał ich przy bladym brzasku poranku. Był to Otbert i Kuternoga.

— Skąd wracają o takiej porze?

Minęli Sukiennice i udali się ku mieszkaniu Pater-noster-machera.

Olderman wychylił się, aby ich lepiej zobaczyć.

Otbert oddawał Kuternodze jakiś przedmiot, który ten wazył w rękę, a potem zdawało mu się, że słyszy wyrazy:

— Dziś lekki...

I tak przezacny pan Olderman był znowu tem rozciekawiony i pogrążony w myślach i przypuszczeniach, że, choć się rozebrał i ułożył do snu, sen się nie zjawił.

Poświęcił tę noc całą dla dobra związku.

XVII.

MATKA I SYN.

Rudolf po rozmowie z Oldermanem był wzburzony.

Mimo szacunku i wdzięczności dlań, które mu wdrażała matka od lat najmłodszych, chłopak uznał, że one zbyt drogo go kosztują.

Wyrzec się tego wszystkiego, czem żyje, co dlań drogim, dla pana Oldermana? toż to szczyt głupoty! Wolno mu żądać ofiar największych, ale tej on mu nigdy zrobić nie może, — bo i nacoby się ona zdała, kiedy on innym już byćby nie mógł!

Czegóż wreszcie chce ten człowiek? Dlaczego ta nienawiść do wszystkiego, co polskie, kiedy właśnie on kocha to wszystko i gotów za nie życie nieść swoje.

A kto powstaje wobec niego na te świętości, jest mu wrogiem, wrogiem, z którym on gotów stoczyć bój na śmierć i życie.

Niemcy! toż to ci, z którymi Polska od lat niepamiętnych toczy krwawe boje, wydzierając, co oni jej grabili i grabią zawsze. Wszak nasłuchał się tego dużo w gospodzie swojego dziada.

Prawda, że są Niemcy i dobrzy ludzie. W Kolonji spotykał ich dużo, nawet bardzo dobrych i wtedy żałował, że nie są Polakami. A przecież oni nie mówili nic złego o Polsce, ani o ludziach w niej mieszkających. A dziś, ten Olderman, człowiek zresztą dobry dla niego i dla jego matki, ten wre, kipi nienawiścią, gdy mowa o Polakach... i jemu nienawidzieć ich każe, — to przechodzi pojęcie ludzkie!

W mózgu chłopca wątpliwości te i zagadnienia wirowały ciągle wkołko, nie mogąc natrafić na żaden punkt, któryby nagłym jakimś błyskiem mógł je rozjaśnić.

Przystanął wreszcie i zawołał:

— Ha, mam! to kupiecka zawiść. Wszakże kupcy drą się między sobą i zazdroszczą jeden

drugiemu; widziałem to nieraz. Tak, ale ta nienawiść nie do całego narodu się rozciąga... walczą ludzie, ale nie narody. Widziałem w Kolonji Francuzów, Anglików, Włochów... a żadnemu Niemcowi nawet na myśl nie przyszło przeklinać i złorzeczyć całemu krajowi, owszem, ceniono wysoko ich zalety...

Snuł on jeszcze w ten sposób wnioski i przypuszczenia, aż wreszcie, nie mogąc już nic znaleźć w mózgu, zakonkludował tem, co mu dyktowało serce:

— Wrogі! wrogі to nasze, naszej ziemi, naszego nieba i naszego powietrza, którem oddychamy!

Wbiegł zdyszany do matki.

Pani Agata przestraszyła się syna.

— Matko! Czem dla ciebie ten człowiek... nie chcę wiedzieć, nie chcę pytać. Masz dlań obowiązki, mam je i ja, ale on wrogiem moim, wrogiem nas wszystkich! Nie chcę dalej spełniać jego rozkazów, nie chcę słuchać jego mowy i nie chcę go widzieć więcej!

— Co się stało, mój synu? Co on ci zrobił takiego, czem cię skrzywdził?

— Każde jego słowo jest krzywdą i obrazą. On chce, żebym się wyrzekł rodziny naszej, chce, żebym przestał być Polakiem; chce, żebym nienawdził tego wszystkiego, com kochać powinien a co kochać dla mnie tak słodko! Dlaczego on to czyni, matko? dlaczego mnie chce zmusić do tego? Ja go nienawdzę, pogardzam nim i nigdy doń więcej nie pójdę!

— Nieszczęsne dziecko!... przestań, na mi-

łość Boga — zawołała kobieta ze łzami, składając ręce — to twój ojciec!

— On? mój ojciec?

— Tak! nadeszła wreszcie ta chwila, gdy ci to powiedziec muszę, kiedy on powiedziec ci tego się wzbrania.

— On moim ojcem! — powtarzał Rudolf machinalnie, wodząc oczyma po izbie i przypatrując się przedmiotom wszystkim, jakby je po raz pierwszy zobaczył w życiu. Potem skierował wzrok na matkę i patrzył w nią długo oniemiały; wreszcie twarz chłopca oblała się rumieńcem, spuścił oczy ku ziemi i umilkł.

— Nie złorzecz mi, dziecko moje! byłem płochą i słabą dziewczyną, poszłam za nim z rodzicielskiego domu, nie zważając na przekleństwo twojego dziadka, i wlokłam długi żywot łez i hańby. Ten człowiek, prócz starań czułych o mnie, nic mi więcej dać nie mógł... wiesz o tem dobrze. Znosiłam wszystko z poddaniem i pokorą. Wreszcie nadeszła chwila, że miano mnie jak ladacznicę wyświecić z miasta... i wtenczas... wtenczas zmuszona byłem oddać rękę człowiekowi, którego nienawidziłam z głębi duszy... ale musiałam... dla ciebie!

— O moja biedna matko! nogi twoje całuję i oblewam je łzami. Kocham cię więcej jeszcze za przebyte męczarnie, ale tego człowieka, który ci to wszystko zgotował... nienawidzę.

— O nie! nie! nie mów tego, dziecko najdroższe. Jam go kochała i kocham go dotąd, pomimo straszego obłędu jego duszy.

— Kochałaś go, matko, i dotąd kochasz, ty, córka Ziemy?

— Tak, moje dziecko. On temu nie winien, że nienawidzić i szkodzić musi; to wina ich wszystkich. To Hanza! Och, gdybyś ty go znał, synu! i poznasz, poznasz go bliżej... bo on ciebie przygarnie, on nie opuści swego dziecka... bo on cię kocha, kocha niezmiernie! Och, gdybyś ty go widział, kiedy nadbiegła wieść o zniszczeniu kompanji kolońskiej, która nam wiozła ciebie... Słuchaj, słuchaj, Rudolffie! ten człowiek posiwał, postarzał się o lat piętnaście...

— Dziwne mi, matko, prawisz rzeczy, tak dziwne, żem ich pojąć nie w stanie. Jednak dusza i serce moje będą zawsze po tamtej stronie... i ty, ty matko, musisz tam pójść ze mną. Matko najdroższa! spełń dla twojego syna jeszcze tę jedną ofiarę... jedyną! Porzuć ohydny związek z człowiekiem nędznym, z którym cię konieczność sprzęgła, a wróc tam, gdzie ja odnalazł to wszystko, coś ty stracić musiał!

— Nie mogę, dziecko moje, ojciec mnie nie przyjmie. I gdzież pójde? do ludzi obcych, których się wyparłam dawno? I czyżby oni podali mi dziś dłoń przyjazną, kiedy mnie nienawidzą tak, jak i jego? Zostaw to wszystko, mój synu, Bogu! niech on pokieruje nami dalej...

Chciała jeszcze coś mówić, ale Rudolf już jej nie słuchał; wybiegł prędko.

— Co będzie z nami, co będzie?... och, to przekleństwo ojca poczyna się spełniać, Boże, mój Boże! gdyby mi go stracić przyszło... umarłabym! Ale nie, nie, tego nie będzie! Zgrzeszyłam ciężko, ale czyż nie odpokutowałam winy?

Kobieta klęka i pogrążyła się w niemej modlitwie, ale do tej modlitwy, jak dysonans,

jak zgrzyt jakiś okropny, mieszało się wspomnienie lat ubiegłych i wiecznie to przekleństwo ojca grzmiało, jak trąba ostatecznego sądu.

Zrozpaczona niewiasta podniosła się z klęczek, odwróciła głowę i wydała przeraźliwy krzyk.

Poza nią stał szatan.

Był to Detmold.

— Czyż to ja was tak przestraszyłem, nadobna Agato?

— Czego żądacie?

— Łaskawego spojrzenia, trochę waszej życzliwości, odrobiny zaufania wzamian za cześć głęboką i uwielbienie, jakie mam dla was.

— Nie rozumiem was, panie. Cóż wam po tem wszystkiem? Zresztą nienawiści ani nieprzyjaźni nie miałam i nie mam do was nigdy. A na cześć waszą i uwielbienie nie zasłużyłam.

— O, nie mówcie tego, piękna Agato. W czyjejże duszy nie obudzilibyście żądzę kochania was nad życie! wy nie chcecie tylko widzieć, o ile obraz wasz zachwyca każdego, kto tylko spojrzy na ciebie.

I tu posunął się, aby ją ująć za rękę.

Kobieta odtrąciła go gwałtownym ruchem.

— Co to jest? skąd wam przyszło prawić mi takie rzeczy! Wstyd wam je mówić, a mnie ich słuchać. Oddalcie się!

— Słuchaj, niewiasto nadobna, aniele czy szatanie. Oczarowałaś mnie, urzekłaś. Jestem w stanie rzucić ci pod nogi bogactwo większe, niż to, którem cię darzy twój kochanek. Zapomnij o nim. On nie wart miłości twojej. Ty będziesz władczynią mojej duszy i moich skar-

bów, któremi cię otoczę. Jam bogaty, bardzo bogaty, a wkrótce...

Przypadł jej do nóg i czołgał się w miarę, jak kobieta się odsuwała.

— Słuchaj! nie będę żądał wiele. Wiem ja... nie jestem taki piękny, jak on... ale czyż w mężczyźnie tylko piękność się ceni? Ja cię tak kocham... tak pożądam!... Pozwól mi dotknąć twojej szaty... ogień gorączki mnie pali!...

Z tej zasuszonej mumji wybuchnął płomień żądzy w kształcie szermeli i raket. Nie potrafił ich ująć w karby, nie umiał przemawiać do kobiety językiem miłości, On ją chciał brać, jak towar, płacić i posiadać.

Agata, przestraszona zrazu tym wybuchem, odzyskała wkrótce moc duszy, zmierzyła go wzrokiem pogardy i odtrąciła od siebie.

— Precz, nędzny gadzie! I tyś śmiał wznieść swój wzrok aż do mnie! Czym już taką, aby ten nędznik mną poniewierał? Precz! wiem, żeś mu wrogiem i kopiesz doły pod nim, ale zanim go dotkniesz, sam się zagrzebiesz pod gruzami. Precz! bo zawołam służbę i czeladź z dołu i wobec nich spoliczkuję cię!

Detmold stał w niemym zachwycie i pożerał ją oczyma.

— Jaka piękna, jaka piekielnie piękna! — mówił, jakgdyby nie słysząc tych obelg, które mu rzuciła kobieta. — Tak, wierzę!... dla takiej możnaby duszę diabłu sprzedać. Ja jednakże jej nie sprzedam. Apage satanas! Ale ilu to grzesznych ludzi na pokuszenie ona wiezie! Dlatego... trzeba ją zniszczyć!

I w jednej chwili ten człowiek, dopiero co

kipiący żądzą, stał się zimnym, szyderczym, okrutnym.

— Chciałem cię kupić, alebyś mnie za drogo kosztowała. Są na świecie rzeczy smaczniejsze. Jest władza, która ma możność... deptać...

I, nie oglądając się na kobietę, wyszedł zwolna, poważny, zimny, uśmiechnięty.

XVIII.

UCZTA U WIERZYNKA.

Przed zamkniętym kościołem Panny Marji klęczy pokutnik w włosiennicy, trzymając zapaloną gromnicę i bijąc się bezustannie w piersi.

Otoczył go lud ciekawy dookoła, bo to nie często podobne widowisko się przytrafi.

Tym pokutnikiem jest wyklęty Wierzynek. Za chwilę mają mu się otworzyć drzwi świątyni i wrócony będzie na łono kościoła, albowiem stało się zadość sprawiedliwości.

Pokutą zmazał winę — a ci, którymi się opiekował, przeszli prawie wszyscy na wiarę chrześcijańską.

Między tłumem mieszczan polskich, krewniaków, przyjaciół domowników Wierzynka, na których twarzach widać radość z jego powrotu, są tu i Niemcy, którzy zdają się dzielić te uczucia.

Ta różnobarwna fala ludu żywo współczuje przeszłą niedolę kupca, utyskuje nad jego stratami i domaga się głośno otwarcia drzwi ko-

ścioła. Nareszcie uderzono we wszystkie dzwony i drzwi się otwały.

Na przyjęcie wyklętego czekało u podwoi dwóch kleryków, którzy go prowadzili przed ołtarz.

Fala ludu popłynęła za nimi.

Przed wielkim ołtarzem czekało wyklętego duchowieństwo, aby odebrać odeń przysięgę i zdjąć klątwę.

Gdy się obrzęd dopełnił, powstał Wierzynek, wyprostował zgarbione dotąd plecy i uczuł, jakgdyby mu kto wielki zdjął ciężar. Popatrzył po ludziach pogodnym okiem; nagle się wzdrygnął — i jakgdyby osłupiał. Zobaczył szyderczą twarz kuternogi a przy nim panią Agatę, błyszcząca pięknnością i klejnotami wielkiej wartości, które zdobiły jej szyję.

Kobieta snadź oswoiła się z drogocennym podarkiem Oldermana, bo ubierała się weń dosyć często, ku ogólnemu zdumieniu i zazdrości pań miejskich.

Wierzynek wpatrywał się długo w tę parę, przenosząc wzrok z jednego na drugą.

Twarcz kuternogi wciąż się uśmiechała, twarcz niewiasty patrzyła ku niemu ze współczuciem.

— Tych ludzi pograżę dziś w rozpacz — myślał Wierzynek, idąc zwolna przez kościół. — Ani się spodziewają, jak straszne jutro ich czeka.

Po roku i dwóch miesiącach mógł się wreszcie przechadzać po ulicach Krakowa.

Nie stąpił kroku, żeby nie spotkać znajomych, lub przyjaciół; trzeba było z każdym się

witać, każdemu opowiadać, bo ludzie wówczas byli gadatliwi a wszystko wiedzieć chcieli.

Gdy doszedł do domu brata swego na Mi-kołajskiej, gdzie go czekano z upragnieniem, upłynęło godzin parę, i byłby może doń doszedł aż pod wieczór, gdyby syn ująwszy ojca pod ramię, nie uwolnił go od natrętów i ciekawych.

Dom Wierzyńka podobny był w tej chwili do owego domu ich protoplasty, gdzie to królów raczono, — bo i tu była uczta, uczta wspa-niała, na jaką się tylko wówczas zdobyć można. Nie było na niej królów, ale co najprzedniejsze- go z mieszczan, szlachty i dygnitarzy koronnych znaleźć się mogło w Krakowie, to zaszczyściło ten dom, już wówczas starożytny.

Eks-wyklęty z rozradowanem obliczem zbliżał się do domu przodków, bo ujrzał na ulicy całą rodzinę swoją, w godowych szatach, idącą na jego spotkanie i ścielącą mu drogę wonnem kwieciem.

Starzec padł w objęcia brata i rozplakał się rzewnie. A gdy ujrzał u nóg swoich wnuków, bratanków, bratanice, siostrzeńców i całą litanję młodego pokolenia, trzeba go było ująć pod rękę, bo omal nie zemdlął z wielkiego wzru-szenia.

Wprowadzono solenizanta na górę, gdzie znów trzeba było przyjmować powinszowania i ukłony.

Wszelki ceremonjał to kanon średnich wie-ków. Bez uczty, bez ceremonjału nic ważnego stać się nie mogło w świecie, a te uczty i cere-monjały trwały nieraz tak długo, że zapomina-

nano, ex re czego one trwają. Dlatego też tak mało się robiło wówczas.

Na takiej uczcie wszystkie zmysły uraczyć trzeba było. Muzyka pieściła ucho, kadzidło powonienie, wzrok jaskrawe barwy, któremi sala ubrana być musiała; dotykano się palcami ciepłych kasek, aby je smakować potem. Serce wreszcie rozradować musieli wesołkowie, śmieszkwowie, błaznowie, — im ich więcej, tem uczta w lepszym tonie.

Posadzono wreszcie starca za stołem na podwyższeniu, skąd mógł objąć okiem całe grono gości i rodzinę.

Zaledwie się jednak pokrzepił jadłem i trunkiem, zaledwie się zorientował w całym tem towarzystwie rozochocionem i wesołem, wzrok jego zatrzymał się na czemś, co znów chmurą powlokło jego oblicze.

— Kto to ten młodzieniec — spytał brata — co siedzi tam przy starym Ziembie?

— To jego wnuk.

— Wnuk, z kogo?

— Z jego córki.

— Jakiej?

— Ma przecież córkę za tym Niemcem Justusem Knabe, Pater-noster-macherem.

Starzec się zerwał, jakby polany ukropem.

— Wnuk jego, syn tego nędznika? co ty mi prawisz!

— Ale nie syn, tylko pasierb. Ten młodzieniec jest bez ojca. Matka tylko się doń przyznała, a kiedyś stary Ziembra, zmiękczonego jego łzami i poczciwym gruntem duszy... ot, przytułił go do siebie i dobrze zrobił.

— Dobrze zrobił — powtórzył machinalnie. — A wiesz, kogo mi ten chłopiec przypomina? Jego... naszego wroga... Oldermana.

— Czy być może!... Miałżeby to być jego...

— Tak jest. Dziwnie się czasem składa na tym świecie. I powiadasz, że on uczciwy?

— Najdzielniejsze chłopię, jakie znam!

— Wszakże on Hanzeatą? widzę to po jego stroju.

— Tak jest... i wyobraź sobie, że się brzydzi swym stanem. Tylko ulegając woli matki, służyć im musi.

— A, tak?... — Starzec się zadumał... po chwili jednak, jakgdyby nim co wstrząsło, wzdrygnął się i rzekł do brata:

— Wy się bawcie, a mnie trzeba wyjść niepostrzeżenie. Mam dzisiejszej nocy... spłacić dług.

— Dług?... dziś?... Co ty mówisz!

— Tak, bracie! dowiesz się jutro, za jaką cenę oglądasz mnie dzisiaj w swych progach.

— Czyż tego nie może kto inny uskutecznić?

— Niestety!

Starzec się wymknął niepostrzeżony i, owinięty czarnym płaszczem, podążał przez ciemne ulice ku Sukiennicom.

W bramie czekał na niego Olderman, niepokojny, w towarzystwie sekretarza Detmolda i dziesięciu łuczników.

Udali się na miejsce.

Znaleźli dom pusty.

Wierzynek poprowadził ich wiadomą drogą aż na sam spód.

Nikogo.

Nawet wszelkie ślady zatarto. Wielki komin tylko wskazywał nowoprzybyłym, że tu się odbywać musiały fabrykaty.

Przy kominie jednak leżał... trup.

Był to trup bednarza.

— Zdradzono nas! — rzekł Olderman.

— Tak jest, ale kto?

Wierzynek popatrzał bystro w oczy Oldermana.

— Czyś dotrzymał wiernie tajemnicy?

— Nie wiedział nikt; nawet ci ludzie, którzy tu z nami przyszli.

— Nikt? — zapytał dobitniej Wierzynek.—
Przypomnij sobie!

— Nikt, powtarzam!

Podczas tej rozmowy, prowadzonej półgłosem, Detmold oglądał starannie trupa. Wtem ujrzał jakiś przedmiot w skostniałej dłoni, wyjął go powoli i schował starannie do torbeczki.

XIX.

MORDERCA.

Ze Wierzynek nie chciał wymienić fałszerzy przed Oldermanem, gotując mu niespodziankę, temu nie można się dziwić.

Chciał on odrazu wprowadzić go w samą czeluść zbrodni i przychwycić zbrodniarzy na gorącym uczynku.

Dosyć już powiedział, gdy zalecił Oldermanowi tajemnicę, nawet przed najbliższymi. Za-

pomniał tylko, że bywają tak bliscy, jak powietrze, które nas otacza, i że dla niektórych ludzi tajemnica dopiero jest wtedy tajemnicą, gdy ją dzieli z drugą osobą.

Takim człowiekiem był Olderman, a taką dlań osobą była — pani Agata.

Zakochany Niemiec spowiadał się przed nią ze wszystkich trosk, radości i zamiarów.

Nie wiedzieli jednak oboje, że czujne ucho kuternogi pochłania każde ich słowo.

Miał on w swoim warsztacie okienko, którym widział wchodzące do domu osoby. Gdy spostrzegł Oldermana, biegł na górę i tam, przyłożywszy ucho do szpary, wysłuchiwał zawsze wszystkiego.

Tym razem zwierzenia niedługo trwały, bo odwołano Oldermana w pilnym interesie do Sukiennic.

Kuternoga dowiedział się jednak, jakie im zagraża niebezpieczeństwo.

Ze drzeniem tedy obaj z Otbertem oczekiwali nocy, aby się załatwić z bednarzem i zatrzeć ślady zbrodni.

Nie dowiedział się jednak nazwiska denuncjatora, bo Olderman go nie wymienił, chcąc całą zasługę sobie przypisać — a że Olderman wyraził wobec Agaty wielką ciekawość w pochwyceniu złoczyńców, więc nie znał ich widocznie.

Zostawmy ich w oczekiwaniu i trwodze, a udajmy się za Oldermanem do Sukiennic, gdzie go ważna powołała sprawa.

W kantorze oczekiwał nań człowiek, w ubraniu mnicha dominikańskiego, skulony

na krzesła, rzucający z pod kaptura niespokojne spojrzenia.

Sekretarz Detmold nadaremnie patrzył weń badawczo i chciał zawiązać rozmowę. Człowiek milczał uparcie i gdy ujrzał otwierające się drzwi, a w nich wchodzącego Oldermana, zerwał się prędko z miejsca i postąpił ku niemu.

Olderman rzucił nań okiem, potem pociągnął ku oknu.

— To ty?... I cóż?

— Stało się — wyszeptał mnich. — Czyśmy tu bezpieczni? — i wskazał na Detmolda, który zdał się być pogrążony w papierach.

— Pójdź do mojej komnaty.

Otworzył drzwi i pociągnął nieznanego za sobą.

Mnich się obejrzał po izbie, wreszcie zrzucił kaptur i odetchnął pełną piersią.

Był to Chrzan.

— Kiedy się stało? — spytał Olderman.

— Wczoraj po południu, w lesie po drodze do Cieszyna.

— Opowiedz.

Człowiek ten ciężko oddychał, jakieś wzruszenie gniotło mu piersi; nareszcie, jakgdyby przewyciężając siebie, ściągnął brwi, potem uderzył nogą w posadzkę, zerwał się z siedzenia i przeszedł parę razy po izbie. Wkońcu zaczął:

— Bóg mi świadkiem, że chciałem oszczędzić sobie tej zbrodni i chociażbyście mi góry złota dawali, nie byłbym się odważył... ale on porwał mi kobietę, którą kochałem, porwał

i zbezczęścił, a potem wyrzucić kazał z zamku, jak psa... poza bramę... 'w noc zimową... Przeklęty! podły!

— No, no, przestań! tegom nieciekawy. Mów, jak się dokonało zabójstwo i czyśmy bezpieczni?

Czech zdawał się uspokajać, siadł znowu i rozpoczął:

— Onegdajszej nocy była wielka kłótnia między nim a starym księciem, tak, żeśmy go prawie nieżywym zanieśli do łóżka. Przemysław pił nazajutrz dzień cały na umór. Porzęczał sługi, mnie zelżył i uderzył, grożąc więzieniem i torturami, jeżeli się poważę zbliżyć do starego pana. Wszystko to nie nowina dla mnie. Byłem już lżony i kopany przez niego, ale gdy, wypominając mi moje niby przestępstwa, wymówił jej imię... i począł się naigrawać z swojego podłego czynu, taka wściekła zemsta zakipiała mi w duszy, że postanowiłem dokonać czynu. Wybrał się zpowrotem do Cieszyna w towarzystwie swoich dwóch przybocznych łuczników. Wszyscy byli dobrze pijani. Wymknąłem się i zacząłem w gęstym sitowiu, przygotowawszy sobie węzełek do przebrania w tę oto suknię. Sitowie to ciągnie się od drogi i ginie w nieprzystępnych bagnach aż pod sam Zator. Tam spodziewałem się znaleźć dobre i bezpieczne ukrycie i tam też je znalazłem... Gdy nadjechali, wziąłem go dobrze na cel i strzała ugrzęzła mu w gardle... Zobaczyłem krew buchającą. Powalił się nawznak. Drugą poczęstowałem łucznika, Zbigniewa. Byłem tak wściekły, że chciałem dalej miotać

strzałami. Myśl o ucieczce nie przeszła mi przez głowę. Stałem więc i widziałem wszystko.

— „Mordercy!” — krzyknął Zbigniew, widząc upadającego księcia Przemysława, ale w tej chwili i jego dosięgła strzała. Stach, drugi łucznik, jął uciekać zpowrotem, wołając: „Zasadzka, ratunku!” Lecz przecie się powoli upamiętał i wrócił, aby ratować towarzysza, który, mocno raniony, tamował krew uchodzącą, podczas gdy książę już nie żył... Tymczasem noc powoli zapadała... Jak się przebrałem, jak dostałem do traktu węgierskiego, już nie pamiętam; w głowie mi huczało i biło młotami; zdawało mi się, że każdy pokazuje mnie palcem i woła: Morderca!... Ukrycież mnie tu i ratujcie, na Boga!

To mówiąc, pochylił się do stóp Oldermana.

Niemiec słuchał tej mowy z tajoną radością; blask jego modrych oczu ją zdradzał, — po chwili jednak powściągnął się i rzekł chłodno:

— O ile w naszej mocy, schronienie bezpieczne mieć będziesz; ale czyś się nie pośpieszył, mój kochany? Czy tem zabójstwem, tak nagle, tak niespodzianie dokonaniem, nie ściągniesz nieszczęścia na swoją głowę?

— Jaktó? Nie byłoż to waszą najgorętszą chęcią?... Nagle? niespodzianie?... Jakże chcecie, żebym go zabijał, powoli... kłuł szpilkami?... Przypomnijcież sobie dobrze.

— Nic nie chcę przypominać! — odparł groźnie Olderman. — Spełniłeś czyn nieroztropnie... nieopatrznie. Pasja, wściekłość kierowały

twą ręką... i my za to odpowiedzialności brać nie możemy.

— Ja na zimno mordować nie umiem. Kiedy wam obiecał śmierć jego, miałem do tego ważne przyczyny, a nie wasze namowy.

— Zaspokoiliś więc zemstę swoją, a nam... nie wyświadczyłeś żadnej przysługi. My takich wrogów się nie obawiamy. Bądź jednak spokojny, byłeś wierny zawsze Hanzie, a Hanza wierne sługi nagradzać umie.

Zabójca smutnie pokiwał głową, jakgdyby mówił: „Znam was dobrze”. Potem rzekł głośno:

— Niech się ze mną wola Pana Boga dzieje. Bezpieczeństwo moje jest bezpieczeństwem waszem, bo przecie język mam i gadać umiem.

— Powiedziałem ci, żeś bezpieczny.

Otworzył małe drzwiczki, wykute w grubym murze, które zasłaniał klęcznik, tak, że na pierwszy rzut oka rozeznac ich nie można było, bo stanowiły jakgdyby przedłużenie klęcznika. Drzwi te prowadziły do trójkątnej baszty, którą oświecało małe okienko, umieszczone wysoko. W baszcie tej było łóżko, stół i krzesło.

— Oto twoje schronienie, dopóki ci bezpieczniejszego nie obmyślę.

Czech rzucił się złamany na łożo.

Nazajutrz miała się odbyć ceremonia z wyklętym Wierzynkiem i poszukiwania fałszerzy; to też biedny Olderman, jakkolwiek bardzo zadowolony z takiego obrotu rzeczy, był jednak dziwnie rozstrojony i niespokojny.

Jego kupiecki rozum mówił mu, że naraz za wiele dobrych rzeczy — to niedobrze. Że się nie mylił, to się zaraz pokaże.

XX.

N A T A N.

Najcięższa to doba Żydów na ziemi naszej. Wyparci przez Hanzę ze stosunków handlowych, darcie, palenie — że potrafili zachować odrębność swoją i nie ulec pod tym strasznym obuchem, toć dowód ich wielkiej siły plemiennej.

Im więcej ich brano w kleszcze, tem silniej się objawiała siła oporu i walki.

Widząc, że miasto, pochłonięte przez Niemców, dla nich stracone, rzucili się w przestwór kraju. Dwory szlachty, zamki magnatów, chata kmiecia — oto miejsca, nawiedzane przez nich, oto arena ich handlowych, finansowych, komi-sowych, faktorskich i t. p. obrotów.

Przez Żyda poczęło się ułatwiać wszystko, czy w dworze, zamku, lub chacie.

Średniowieczna rycerskość nie kalala rąk handlem, a jednak złota potrzebowała, lubiła się stroić i żyć wykwintnie; prócz tego, poczęła mieć coraz więcej rozlicznych potrzeb, w miarę, jak cywilizacja te potrzeby stwarzała. I któż to wszystko miał ułatwiać? Żyd.

Staje on się powoli jej bankierem, pośrednikiem w kupnie i sprzedaży, informatorem, doradcą, depozytorem, a nawet często towarzyszem, bez którego obejść się trudno, —

wkońcu zaś przyjacielem i sługą najwierniejszym.

Włada wybornie językiem polskim, więc stosunek z nim łatwy i miły.

Uczy się prędko języka niemieckiego i tak go sobie przyswaja, że tworzy żargon, dziwną mieszaninę z hebrajskim, która mu została po dziś dzień.

Jednym z takich Żydów na dworze hulaszczego księcia Przemysława był Natan, syn Arona, złotnika krakowskiego, nieprzejednany wróg Hanzy, bo wyzuty przez nią z mienia i domu.

Był on podskarzim, arendarzem, negocjatorem i doradcą książęcym.

Znakomite zyski, które mu dawała służba u Przemysława, obracał na utrzymanie i zapomogi dla licznych swoich wyznawców, których był niejako patryarchą w księstwie oświęcimskim.

Śmierć Przemysława razila Żyda gromem.

Rozdarł na sobie szaty i poprzysiągł na h a j r e m, że póty nie spocznie, póty nie będzie spożywał strawy żadnej, prócz chleba i wody, dopóki nie wynajdzie zabójcy i nie pomści pana swego.

Natan był mądry i roztropny i znał ludzi, z którymi obcował. Wiedział, w jaką strunę ich uczuć uderzyć. Nie kornie więc, jak dotąd, zginiając szyć, ale wielkim alarmem i krzykiem postanowił przemówić do tych głów gnuśnych i ospałych.

Biegnie więc do stajen książęcych, każe wybrać najdzielniejsze konie i pędzi na nich

od zamku do zamku, krzycząc w uszy książętom i baronom:

— Hanza! Hanza niemiecka zabija książęta!... Oto morderca, przez nich nasłany, zabija mego pana w lesie, nagle, z zasadzki. Zemsta! Zemsta! Zemsta im! Zaklinam was na waszego Boga, śpieszcie do Krakowa. Śpieszcie! śpieszcie ze mną, a ja przysięgam wam na Jehowę, że go tam znajdę i oddam zemście waszej.

I stało się, że Żyd ten, niby drugi Mardochai, obwołuje głosem wielkim zemstę Hamanowi i prowadzi książąt i baronów do Krakowa.

Panowie jeszcze nie zapomnieli katastrofy w żywieckim lesie, skwapliwie więc chwytają sposobność zemsty, i oto, nim tydzień upłynął, widzimy wjeżdżającą w mury Krakowa drużynę, złożoną z dawnych naszych znajomych—prócz jednego Hinkowa z Głogowy, którego kamienna płyta kryje.

Było to o południu jasnego dnia w lutym, w uroczystość św. Macieja apostoła.

Lud wychodził tłumnie z kościoła, gdy w rynku ukazał się zbrojny hufiec przyjaciół księcia oświęcimskiego.

Po ludziach postrach wionął, bo nie wiadano, co ci rycerze z sobą niosą. Wszyscy przystanęli i przypatrywali im się nieufnie.

Wtem Natan zeskoczył z konia i chwycił za rękę kobietę.

— Patrzcie! patrzcie! widzicie, co ta kobieta ma na szyi? To łańcuch księcia Przemysława? ten łańcuch... pamiętacie go?... pamiętacie ów wieczór, kiedy go zawiesił na piersi

pani Małgorzaty?... Wszak to złodziejka!
a gdzie złodziejka, tam i morderca być musi.

I mówiąc to, zdarł kosztowny łańcuch z rami-
on pani Agaty.

— Prowadźcie ją, tam, na róg Szewskiej.
To żona największego hanzeatyckiego łotra, to
żona Justusa Knabego!... Tam! przetrząśniemy
cały dom! Coś tam więcej znaleźć się musi.

Żyd płomieniem swojej wymowy rozпалиł do
czerwoności całą drużynę.

Nikt nie śmiał się odezwać słowem jednym,
choć pani Agata wzywała pomocy. Zjawił się
wprawdzie Rudolf tuż przy matce i powalił na-
pastnika, ale go pochwycili pacholcy burgrabi
lanckorońskiego.

W jednej chwili opanowano dom kuternogi.

Pochwycono go w komnacie pani Agaty,
przy szufladzie, pełnej kobiecych gratów, —
znać wybierał z nich coś dla siebie.

Przebiegły Natan dotarł aż do pewnicy
i stamtąd wyniósł łup największy, bo złoto
uzbierane i fałszywe stemple hanzeatyckich
talarów.

— Patrzcie! patrzcie! — wołał Żyd. — Wi-
dzicie, kto fałszuje Hanzie talary? Patrzcie
tu! — i wydobył jeden z swojej kalety — to ten
sam, wybity na tej modle. Ha, złodzieje! Trzy-
majcie tego łotra, bo to ptak nieocenionej war-
tości.

— A toż tu ich całe worki! świeże, no-
wiutkie!

— Więc Hanza biła fałszywe pieniądze!

— Hanza! Hanza, złodziejska Hanza!

Wyszła wreszcie tajemnica na światło dnia

białego, i czego nie mógł dokazać dobroduszny Wierzynek, dokazał mściwy Natan.

Fortuna dziwnie kapryśna.

Skrępowanego kuternogę oddano sądom ławniczym.

Dom zrabowano doszczętnie i zabito deskami, jakby dotknięty zarazą.

Panią Agatę z synem wypuszczono na wolność.

Po przestřachu gwałtownym, uczuła ona nagle jakby dawno upragnioną swobodę. Pozbyła się nienawistnego człowieka, ale została bez dachu.

Całą zdobycz rozdzielono między siebie, tylko fałszywe pieniądze i stemple złożono ławnikowi.

Beatus, qui tenet.

XXI.

DETMOLD.

Trwoga padła na Hanzę.

Olderman otworzył skryte drzwi w swoim kantorze i wszedł do wąskiej, trójkątnej izby

Na łóżku spoczywał Chrzan, oświecony skąpo światłem zakratowanego okienka, oparty na rękę i pogrążony w głębokich myślach.

Zerwał się na przybycie Oldermana.

— Złe z nami! — rzekł pan Bonar. — Słyszysz te krzyki? To oni! żądają twojej głowy. Jużes tu niebezpieczny. Musisz uciekać!

— Gdzież mam uciekać? — rzekł z rozpaczą. — Jeżeli u was niepewny, to gdzież pewnym być mogę?

— Udasz się na Spiż, do Keszmarku; tam cię żadna ręka nie dosięgnie. Damy ci listy. Cicho, pod osłoną nocy wyjedziesz z miasta. Na Kleparzu podadzą ci konia i ruszysz w drogę bezpieczny.

— O, czemużem, czemu dał się uwieść głosowi waszej i mojej zemsty! O, biedny ja, niešťczęśliwy człowiek!

— Milcz! nie czas tu rozwodzić żale. Stało się, ratować się trzeba.

— Och, cóż mnie teraz uratować zdoła! Ufałem w waszą potęgę, teraz widzę, że ona krucha i słaba!

— Ona silna i potężna, bo cię okryje swoim płaszczem; ale nie tu, wśród wrogów, Bądź gotowym.

I wielki zwierzchnik Hanzy wyszedł, zostawiając zbrodniarza wyrzutom i rozpacz.

Zaledwie jednak zdążył zamknąć ukryte drzwi, ukazało się poselstwo, złożone z sześciu szlachty i tyluż pachołków, mające na czele burgrabiego cieszyńskiego zamku.

Donosiło ono Oldermanowi o wykryciu fałszerza kuternogi i domagało się krótkimi słowy wydania mordercy Przemysława, grożąc wojną.

Reinhold uzbroił się w powagę wielką i odpowiedział sucho:

— Co się tyczy wykrycia fałszerza, jesteśmy wam nieskończenie wdzięczni, zacni panowie, boście nam oszczędzili kłopotu w dalszym

śledztwie przestępcy... ale skądże my wiedzieć mamy o zbrojcy? Czyżbyście śmieli podejrzewać nas o współnictwo w tej zbrodni?... Jakkolwiek wielkie, nieobliczone straty ponieśliśmy od waszego pana, to przecież nie tą drogą żądać nam zadośćuczynienia. Sprawa odesłana została do wielkiego Sejmu w Lubece, który pewnie nie zaniedba ściągnąć strat naszych na dobrach Oświęcima i Cieszyna.

Powaga, zimna krew i wymowa, argumentująca jasno, krótko i dobitnie, oddziaływały zawsze w takich razach na wzburzone umysły. To też i teraz wysłuchano przemowy Oldermana i długo się namyślano, co na nią odpowiedzieć, gdy nagle wystąpił z tłumu Natan.

— Co wasz Sejm w Lubece postanowi, to nas nie obchodzi w tej chwili, my żądamy wydania mordercy, który się uciekł pod wasze skrzydła; żądamy wydania go dobrowolnie, w przeciwnym razie stanie się to, co się stało z domem Justusa Knabego. Nie myślcie, żeby to była czcza przechwałka. Jeżeli racycie rzucić okiem na rynek, przekonacie się, że, krom naszych ludzi, są tysiące wzburzonego pospólstwa, które was rozszarpie w kawałki.

— Czego tu chce ten niewierny? Czyż już brak ludzi w chrześcijańskim narodzie, ażeby Żyd zabierał głos w sprawach tak ważnych!

— Ten Żyd jest wiernym sługą księcia, zamordowanego przez was! ten Żyd jest mścicielem wszystkich krzywd, któreście zadali jego braciom! ten Żyd dowiedzie wam, że kochać i czcić potrafi swoich panów... i jeżeli tu natychmiast nie wprowadzicie nam mordercy

na światło dnia białego, to my go wywleczem
przemocą z nory, w której się ukrywa. Za mną,
panowie!

I postąpił ku Oldermanowi.

Była chwila, że, pociągnięci i sfanatyzowani
gorącą przemową Żyda, postąpili za nim, go-
towi do czynu, jaki on im spełnić każe, — gdy
nagle Detmold, dotychczas siedzący, milczący
i skulony przy stole, powstał, wziął w rękę
krucyfiks i stanął między Żydem i Oldermanem.

— Precz, niewierny psie... i wy wszyscy,
co mu służycie! W proch tu, przed wizerunkiem
ukrzyżowanego Chrystusa, albo przekleństwo
pokręci wasze kości i skołczeją języki!... Precz!

Gdyby sufit runął na głowy napastników,
nie byłby wywarł takiego popłochu, jak to wy-
stąpienie Detmolda.

Zdawało im się na chwilę, że rzeczywiście
gromy dzierży w swych rękach, a od krzyża
bije łuna tysiącznemi ogniami. Ten chudy, suchy
skryptor urósł w ich oczach na potęgę — i był
potęgą, bo umiał zażegnać wczas burzę, która
już wyglądała z tych zwierzęcych źrenic, go-
towa druzgotać wszelkie zapory.

On ich naznaczył niejako piętnem niewia-
ry, solidaryzując z niewiernym Żydem. Im,
chrześcijanom, zagrodzono drogę krucyfi-
ksem, jako parszywym owcom, co się wdarły
w chrześcijański przybytek.

Pierwsza też myślą ich była niejako reha-
bilitacja, to jest wypędzenie Żyda, a działanie
na własną rękę, — ale gdy się rozejrzeli za nim,
Żyda w komnacie już nie było.

Tego też chciał Detmold.

Rozpoczęto pertraktację chłodniej, skutkiem której stanęło na tem, że Olderman zobowiązał się śledzić zbrodniarza i w razie wy-nalezienia, wydać go w ich ręce, poddając się wszelkim niebezpieczeństwom, jakiego w razie niedotrzymania umowy spaść na niego miały.

Dano mu dwadzieścia cztery godziny czasu i cała ta falanga, przed chwilą wzburzona, wyszła spokojnie z izby.

Został Olderman z Detmoldem.

Sekretarz już nie miał miny pokornego skryptora, ale nagle przybrał ton wyniosły.

— Ocaliłem ci życie i uratowałem honor Hanzy!

— Przyznaję. Ale to jeszcze nie daje ci prawa odzywać się do mnie w ten sposób. Zapominasz, kim jesteś!

— Bynajmniej! i żeby cię o tem przekonać, oto dokument, który ci wyjaśni, czem ja jestem obecnie.

Olderman wziął z rąk Detmolda papier i, drżący, przeczytał, co następuje:

„Postanowiono na najwyższym Sejmie w Lubece zamianować naszego wiernego Detmolda Schwarzbacha naszym najpierwszym radcą i stróżem głównej pieczęci i rozkazujemy Reinholdowi Bonar, Oldermanowi krakowskiej faktorii, być mu we wszystkim posłusznym.

Najwyższy Sejm w Lubece.

Podpisano: Wilhelm Knobelsdorf“.

Olderman z pokornym ukłonem wręczył dokument i czekał rozkazów nowego dostojnika.

— Wydasz im zbrodniarza, któregoś tam ukrył.

— Ależ on jest...

— Przekupiony przez ciebie? Nam nic do tego. Będziesz się wykręcał z tej sprawy, jak umiesz. Hanza nie odpowiada za wybryki swoich urzędników.

— Wszakże dla dobra...

— Dla dogodzenia swojej zemście... Hanza inne miała zamiary co do księcia Przemysława...

Olderman skłonił głowę.

— Uwięzisz Otberta z Kolonji.

— Otberta?

— Tak! to wspólnik Pater-noster-mache-ra. Podczas kiedy ci wykryli jednego, ja odnalazłem drugiego. Jutro rozpoczniemy nad nimi sądy.

— Dobrze.

— Zerwiesz wszelkie stosunki, jakie cię wiążą z kobietą ową.

Olderman się wzdrygnął, jak pod ukąszeniem padalca; spojrzął na Detmolda wzrokiem tak strasznym, przed którymby zadrżał niejednen śmiałek, — były sekretarz jednak wytrzymał go spokojnie, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Potem krokiem poważnym wyszedł z kantoru.

Reinhold popatrzył na drzwi, zamykające się za nim, potem rozejrzał się po komnacie, jakgdyby chcąc uprzytomnić sobie to wszystko, co tu zaszło przed chwilą.

Tańcowały mu w wyobraźni postacie kuter-nogi, Otberta. To znów Chrzan mu się zjawił, a potem Wierzynek i Żyd Natan — razem ze sobą, jakgdyby spojeni, mówiący wspólnym językiem... a pośród tego chaosu słów góro-

wało jedno słowo uczciwego Wierzyńka: Sumienie. „Pamiętaj, że sumienia kupić nie można!...” Dalej ona stanęła mu w pamięci. Ona, Agata... i syn jej... i jegol... i Detmold, straszny, potężny, z krucyfiksem... i to wszystko zmieszało się w jakieś niewyraźne, poplątane pasmo.

Chwycił się za głowę i padł na krzesło, szepcząc:

— Pokuta się zaczyna!

XXII.

NOWE ŻYCIE.

Wojna wypowiedziana, postanowiona, nieunikniona,

Nigdy jeszcze Polska nie postawiła swej egzystencji całej na ostrzu miecza, ja kto w tej właśnie chwili.

Miała pójść w zapasy z odwiecznym swoim wrogiem, teutonizmem, który właśnie dzięki jej bezradności i powolności bujnie się rozkrzewił i groził jej zagładą doszczętną.

Miała to być walka o śmierć i życie.

Bój krzyża z pogaństwem, bój cywilizacji z ciemnotą — jak mawiali Niemcy, a z nimi cała prawie Europa.

Dla nas znów chodziło o poskromienie żarłocznej hydry, która, niepomna praw boskich, ni ludzkich, wydzieraa nam ziemię, deptaa cześć narodu, plugawiła i poniewierała tem wszystkim, przed czem się człowiek korzyć

nauczył, — która od wieków walczyła z nami bronią, ukutą w najohydniejszej kuźni ludzkich występków; jednym słowem, miała się powtórzyć owa legendowa walka ze smokiem, co pił krew narodu.

Na Wawelu odbyła się walna rada wojenna.

Zygmunt z Brzezia wniósł, aby obok ojczy-
stych cudzoziemskie zaciągnąć chorągwie,
mianowicie: czeskie i morawskie.

Najęto więc kilka hufców pod wodzą So-
koła, Zoławy, Zbyszka, Kostki i innych.

Z Krakowa, na Korczyn i Słupią odbył król
boso pielgrzymkę pobożną na Łysą Górę, gdzie
krzyżem leżąc, prosił Boga o zwycięstwo.

Stamtąd ruszył do Wolborza, skąd się wo-
jenne miały rozpocząć działania.

Obliczano, rachowano, słowem przystępo-
wano z oględnością, umiarkowaniem, pokorą
i ufnością w pomocy bożej.

Niemcy zato, z butą niesłychaną i zuchwal-
stwem, trąbili po świecie o rozszarpanej Polsce
i już dzielili się przyszłym łupem.

Nigdy silniej i jaskrawiej nie zabłysły ich
narodowe grzechy, jak w tej chwili.

Po Krakowie śpiewano ich pieśni, urągają-
ce dzielności naszego oręża i ubliżające kró-
lowi.

Pisane paszkwile krążyły z rąk do rąk.

Wydawano uczty, ciesząc się zwycięstwem
pewnem.

Do Krakowa napływały jakieś postacie ry-
cerzy błędnych, gdzieś z końca świata, jak ma-
wiano wówczas. Słyszano języki: hiszpański,
angielski, włoski, szwedzki.

Niektórzy z nich przyłączyli się do wojsk polskich, inni przechodzili do Krzyżaków, a pośrednikiem między nimi była zawsze Hanza, która pomimo tarapatów, jakie spadły na nią w tej chwili, robiła swoje, służąc gorliwie sprawie teutonizmu.

Dlatego też sprawa jej osobista obudziła o tyle tylko zajęcie, o ile dotykała interesów miejskich; cała uwaga, cały interes zwrócił się ku wojnie.

Polska cała zawodziła na klęczkach pieśni i modły, gotowa, od najmniejszego do najwyższego, nieść życie w ofierze. A choć buta zuchwałego wroga nieraz krew napędzała do skroni, przeklinano ich zcicha i zaciskano pięście.

U Wierzyńków skupiał się wszystek duch i zapal polskiego mieszczaństwa.

Jeden z synów pana Wawrzyńca szedł pod chorągiew pana Zawiszy Czarnego, a za nim poszło dwóch Turzonów, Wierzbięta, Bursztyn, Zyganty, dwóch Borhów... i wielu, wielu jeszcze, jako podatek krwi dla Ojczyzny.

Nasz młody Rudolf porwał matkę z tego piekła i, niby drugi Eneasz ze zburzonej Troi, wiodł świętość swoją w świat inny, piękny, do którego tak przylgnął duszą całą.

Nieszczęśliwa, a zabląkana niewiasta znalazła się naraz między otoczeniem, co jej najpiękniejsze dni życia przypomniało.

Gościnny dom Wierzyńków przyjął wpośród siebie tę zbląkaną owcę, zanim stary Ziemba nie da się przebłagać i nie otworzy jej ra-

mion ojcowskich, tak jak już uczynił dla wnuka.

Piękna kobieta, przybrana w niebieską barwę, na znak żałoby, co podnosiło jej piękność, bez ozdób i drogich kamieni, była przedmiotem podziwu i czci dla tych wszystkich, co ją otaczali.

Przy niej Rudolf, błyszczący młodością i rozumem, co bił z jego czoła i pięknych oczu, tak miłujący wszystko, co nasze, a tak podobny do tego, co był dla nich wszystkich wrogiem nieprzejednanym, stanowił dziwną a niepojętą sprzeczność.

Sowizdrzał, który tymi czasy zjawił się w Krakowie, z długiej wędrówki przyniósł wieści i przepowiednie, że w tym roku 1410 wielkie mają się zdarzyć rzeczy na świecie.

Mawiano tedy, że lepiej już ma być na świecie. Poniżeni będą pyszni i zuchwali, a wywyższeni mali i słabi — a wszystko to w imię tej dziesiątki, która teraz w kalendarzu.

Zwykła piosnka biedaków!...

XXIII.

TRZY EGZEKUCJE.

Miały się one odbyć w trzech dniach, kolej po sobie następujących, począwszy od czwartku po niedzielę środopustnej — w piątek i sobotę.

W czwartek miano wsadzić na rozpalonego spiżowego konia Chrzana, Czecha, schwytanego na Kleparzu w chwili właśnie, gdy dosiadł ko-

nia, który miał go zanieść na Węgry, jak mu to Olderman przygotował.

W piątek miano łamać kołem Justusa Kna-bego, Pater-noster-machera, za fałszowanie mo-nety.

W sobotę zaś miano smażyć w oleju Otberta z Kolonji, Hanzeatę, współnika kuternogi.

Co tu... łakoci!

Co to za wspaniała uczta!

Codzień nowa przyjemność.

Nie posiadano się z radości.

Najwięcej obiecywano sobie przyjemności w piątek.

Kuternoga był znaną powszechnie figurą i powszechnie znienawidzoną. Oddawna go uważano jako szpiega Niemców, a nie cierpiano za jego złośliwy język, którym każdemu dopiekl.

To też na piątek całe oczekiwanie, całą cieka-wość, wszystkie obietnice przyszłych rozko-szy zachowano.

Ale niestety! jakże zawodnemi bywają na-dzieje ludzkie! To wszystko, co nam ma uprzy-jemnić życie, za czem wdychamy i tęsknimy, rozwiewa się, jak mara senna, a zostaje tylko gorycz i rozczarowanie zawodu.

Kuternoga uciekł!

Pomimo najostrzejszego więzienia i straży, czuwającej dniem i nocą, zdołał przekupić stróżę i zniknął wraz z nimi z więzienia ratu-szowego.

Pozostało dwóch, a właściwie jeden tylko: nieszczęśliwy Czech, którego egzekucja odbyła się z całą powagą na rynku krakowskim, ku

ogólnemu zgorszeniu płci białej, a nawet niezadowolaniu najwybredniejszych smakoszków, — bo gdy rozebranego delikwenta miano sadzać na owego spiżowego, rozpalonego do białości konia, nieszczęśliwy już nie żył. Trucizną oszczędził sobie mąk, a lud pozbawił rozkoszy widowiska.

Hanzeatę Otberta miano tracić w Sukiennicach, gdzie przystęp dla ciekawych był wzbroniony.

My jednak tam wejdziemy.

Więzienne lochy, tortury i kat — to rzeczy tak niezbędne w owych wiekach, jak woda i powietrze. Nie było bez nich zameczku, gródka, osady. Gdzie tylko skupiali się ludzie, tam zaraz musiały być narzędzia kary. Bez kaplicy i księdza obejść się można, ale bez lochów i oprawców — niepodobna.

Miała je Hanza, a miała lepsze i doskonalsze, niż gdziekolwiek.

Młody nadreńczyk wytrzymał mężnie tortury, zaprzeczał dowodowi Detmolda, który tak silnie przemawiał na jego niekorzyść — a był to kawałek rękawa od jego sukni, znaleziony w ręku trupa bednarza; zaprzeczał znalezionym u siebie fałszywym talarom, — ale gdy zdradziecki kuternoga wymienił go jako współnika, spuścił głowę z rozpaczą i czekał śmierci.

Zbliżyła się ona szybko w postaci oprawcy, który w kwadrans po odczytaniu wyroku wszedł do więziennej celi.

Był to olbrzym atletycznej budowy, z ciemną brodą prawie do pasa, z lewem okiem zasłanym krwią.

Skinął na więźnia i miał się z nim do wyjścia, gdy około dziesięciu ludzi zaczajonych w korytarzu, na których czele był brat ślubny Otberta, Folchard, wpadło do celi i uprowadziło więźnia.

Olbrzym patrzył na to spokojnie i ani jednym ruchem nie zaprotestował; uśmiechnął się tylko dziwnie i wyszedł zwolna z celi.

Nie do niego należało uganiać się za zbiegiem, ani wołać pomocy.

Tymczasem do dziesięciu obrońców Otberta przyłączyło się na górze mnóstwo innych.

Zawrzało buntem.

— Szukajcie i ukarście kuternogę — wołano. — Otberta zamordować nie damy!

— Tamten zbrodniarz wciągnął go do haniebnego rzemiosła. On nie winien!

Olderman kazał pozamykać bramy Sukienic, aby nie dopuszczać obcych żywiołów, i obsadzić je silnie łucznikami, — ale nikt go już nie posłuchał.

Wówczas ucieknięto się do zwyczajnego, ale prawie zawsze skutecznego środka — spekulacji na chciwość ludzką.

Obiecano sto talarów nagrody za głowę winowajcy.

Nikt się nie ruszył, ale wzamian zahuczały przekleństwa i złorzeczenie.

Dwieście!... trzysta!... i tak dalej... aż do tysiąca.

A gdy „tysiąc“! wymówiono, olbrzymia postać oprawcy ukazała się w tłumie, rozgarnęła rękoma mrowie ludzkie, niby lalki z wosku, pchnięciem sztyletu powaliła delikwenta i przy

towarzyszeniu okrzyków grozy, przekleństw, razów, jakie na nią spadały, w jednej chwili ujęła za włosy drgającego w konwulsjach konania ciało biednego Otberta, torowała nim sobie drogę, bijąc napastników, potem rzuciła przed struchlałym prawie i zdumionym Oldermanem.

Tłum całą falą potoczył się na olbrzyma, podczas gdy ten najspokojniej podniósł wielką kamienną cysternę i zamierzył się.

Tego wystarczyło. Być zgruchotanym na miazgę — nikomu się nie chciało.

Sprawiedliwości stało się zadość. Tłumy się rozpierchły, ale zbuntowani Hanzeaci dopiero drugiego dnia stawili się do pracy.

Olbrzym, dokonawszy tej sprawy, pokazał coś na mięgi Oldermanowi. Ten go zrozumiał i, poradziwszy się Detmolda, zawezwał go do kantoru, nakreślił słów kilkanaście na pergaminie, przyłożył pieczęć i podał oprawcy.

Była to jego wolność.

Za tvle go sprzedano Hanzie.

Wracał do rodzinnej ziemi, ale — bez języka.

Schował starannie papier, potem otarł łzę z krwawego oka.

Niewola — to chyba największa z plag, co trapiły wówczas ludzkość. Pomimo, że koncylium londyńskie potępiło ją jeszcze w roku 1102, ciągnie się ona prawie do połowy piętnastego stulecia. Słowiańską krwią kupczono na rynkach Europy, a towaru tego dostarczała obficie Hanza.

DOM BEZ LOKATORA.

Folchard prawie był oszalały z rozpacz i wściekłości.

Ten fanatyczny umysł dniem i nocą marzył o zemście, bo mu tak kazały śluby braterstwa, które uroczyście zaprzysiągł Otbertowi.

— Krwi! krwi! za niewinnego Otberta, choćby to miała być krew najdroższa.

Poprzysiągł zemstę na hostję, którą pożywał po spowiedzi.

Dla takiego człowieka świat tętnił jedną myślą, widniał jednym obrazem, oddychał jedną chęcią.

Nie rozumował, nie roztrząsał. Dla niego wszyscy, którzy w jakibądź sposób przyczynili się do śmierci Otberta, byli winni i muszą paść pod ciosami jego zemsty.

Z tego młodego nadreńcyka, kwitnącego zdrowiem i różami młodości, zrobił się istny szkielet. W twarzy błyszczała dzika żądza głodnej hjeny... i ona to jedna trzymała go przy życiu i ożywiała dziką energją wyniszczony postami i głodem organizm.

Ten zwierz, wietrzący krew, przeszukał już wszystkie kryjówki miejskie i zamiejskie, szukając najprzód głównego sprawcy nieszczęścia — kuternogi. Nie było schronienia, nie było jakiegoś podejrzanego miejsca, lub jaskini, w której się zwykli gnieździć złoczyńcy, gdzieby on nie był.

Nareszcie jednej nocy błysła mu myśl, ażeby wejść do pustego domu kuternogi i tam poszukać jakichś śladów, jakiejs wskazówki, co by go pewniej na trop naprowadziła.

Do budynków takich niezamieszkałych przyczepiała zawsze zabobonna społeczność baśnie o upiorach i strachach, — boć jeżeli tam nie mieszkali ludzie, to musieli mieszkać djabli, a kuternoga niewątpliwie był z nimi w przyjaźni, i temu to zabobonowi winien był dom, że go unikano starannie i nie kwapiono się doń zajrzeć. Jak przed kilku tygodniami go zamknięto, tak stał dotychczas nietykany.

Folchard jednak postanowił tam wejść.

Gdy Folchard oderwał wszystkie deski, a było ich trzy, pozostała mu czwarta, która tak lekko była przybita, że sama się oderwała i padła z łoskotem na ulicę. Z poza tej deski ujrzał drzwi domostwa niedomknięte. Człowiek rozważny byłby z tego wysnuł ciekawy wniosek, ale nadreńczyk, jak wspomnieliśmy, drżał ze strachu i ustawicznie czekał, czy mu się nie zjawi za każdą oderwaną deską jakaś postać z rogami.

Pchnął jednak silnie drzwi, które na rozcież się otwały, wszedł zwolna i oświecił sobie latarką wnętrze sieni.

Sień ta była raczej wąskim korytarzem. Po lewej jego stronie prowadziły drzwi do sklepu Pater-noster-machera, dalej, o kilka kroków po tejże samej stronie, schody na górę. Prawa strona była pusta i gładka. W głębi wyjście na małe podwórko.

Tylko co na nie wszedł Folchard, gdy nagle

się zatrzymał, bo zdało mu się, że słyszy rozmowę.

Słuchał ciągle; głosy ludzkie wyraźnie dochodziły, jakgdyby z pod ziemi.

Wzdrygnął się mocno, ale zapanował nad bojażnią, a niech raz umysł taki oswoi się i pozna całą niedorzeczność urojeń, będzie szedł do piekiel bez drżenia.

Rozróżniał już teraz rozmowę: zdawało mu się, że jest trzech ludzi; dolatywały go niektóre słowa, ale nie wiedział, skąd one pochodzą. Obszedł cały dziedzińczyk i nic nie znalazł. Żadnych drzwi. Ściany bowiem dziedzińca stanowiły tyły innych domostw, lub zabudowań. Przy samej takiej ścianie w głębi stała niewielka stajenka, gdzie chowano zapewne świnię, albo inne jakie domowe zwierzęta. Na środku podwórka była studnia. Zajrzał tam i zobaczył tylko na tle wody, rozjaśnionej płatkami nieba, jakąś postać, która zdradzała jego ruchy. Był to on oczywiście; a głosy wciąż go dolatywały. I znów wrócił na dawne miejsce, gdzie się korytarzyk kończył, i przystanął — bo mu się zdawało, że wyraźnie usłyszał wymówione imię Otberta.

Tak! ci ludzie rozmawiali o jego przyjacielu.

— Otbert nie zmarnotrawił tych pieniędzy — mówił jeden głos.

— Tak, on je schował, a gdzie je schował, wiedzieć będzie Folchard.

— Jesteście głupcy — powiedział trzeci — ja wiem dobrze.

W tym trzecim poznał Folchard kuternogę. Pochylił się, żeby jeszcze lepiej słyszeć, i te-

raz dopiero zobaczył, że stoi właśnie na drzwiach.

Drzwi te widocznie prowadziły do lochu.

W lochu jest trzech ludzi, między którymi kuternoga.

Folchard zadrżał na całym ciele, ale już nie z bojaźni, bo teraz nie uląkłby się samego Lucypera, ale z wściekłości strasznej, która nim trzęsła, jak febra.

Pomacał rękoma po sztylcie, co mu wisiał u pasa... Ale to nie dosyć. Jest ich trzech, każdego sprzątnąć trzeba. — Przypomniawszy sobie, że przy drzwiach zostawił topór pożyczony od rzeźnika, który z sobą przyniósł do odbijania desek i do obrony. Pobiegł po niego.

Wpaść tam i jednym zamachem położyć trupem kuternogę a potem jego dwóch towarzyszy, których poznawał także, — byli to stróże więzienni, co z nim razem uciekli, a którzy mu ułatwili niegdyś widzenie się z kuternogą w więzieniu.

— Są tu, mam ich! Zemsta moja dziś będzie obchodzić swój triumf.

I powoli zaczął się delektować, widząc już w myśli cały przyszły bankiet.

Obrachowywał, rozważał, jak będzie najdogodniej dokonać dzieła. Potem podziwiał śmiałość i zuchwalstwo kuternogi, że właśnie tam obrał sobie schronienie, gdzieby go nikt szukać się nie ośmielił. To mu w jego oczach nadało więcej zbrodniczej potęgi i to go zagrzewało do okrucieństwa nad łotrem.

— Trzeba zbadać ten loch — pomyślał i chwycił za drzwi.

Wejście do lochu było murowane a tak wąskie, że tylko jedna osoba i to z trudem iść niem mogła.

— Tu będę ich oczekiwał! — powiedział sobie — ale jak długo?... Przecież te lotry wyjść stąd tej nocy muszą. Czekałmy i słuchajmy dalej.

Lecz niedługo oczekiwał. Rozmowa nagle umilkła i usłyszał wyraźne kroki idącego ku górze człowieka. Pochwycił oburącz topór i przy słabym brzasku północnego nieba ujrzał wylaniającą się z podziemnego przejścia postać ludzką. Topór świsnął z strasznym zamachem i człowiek padł, nie wydawszy żadnego jęku.

Folchard odciągnął trupa ku studni, ale za ledwie to skuteczniał, gdy wyszła druga postać i stanęła cała na poziomie.

— Cóż u diabła tam robisz? — rzekła.

Lecz za ledwie tych słów domówiła, poczuła silny pocisk Folcharda.

— Zdrada! ratunku! — krzyknął człowiek, padając i brocząc krwią.

Wtenczas Folchard jak szalony począł się spuszczać po schodach do piwnicy.

Wtem poczuł, jak go coś za nogi ciągnie — a ręce, to były jak żelazne kleszcze. Napróżno się zwijał i wypręzał, coś go wlokło z przerażającą szybkością...

Nakoniec puszczo mu nogi i poczuł, że go zepchnięto... i leciał w przepaść jakąś głęboką... i padł na dno zemdlony.

POWRÓT DO GNIAZDA.

Pan Olderman von Bonar pędził dni smutne. On, najwierniejszy syn kulturkampfu, on, bojownik i rozkrzewiciel niemczyzny, wier-ny sługa Hanzy aż do zaparcia, przekła-dający jej interesy ponad potrzeby własnego serca, on popadł u niej w niełasę, postradał zaufanie!

Przed kilkunastu tygodniami, gdy się toczyła sprawa Chrzana, omal głową nie nałożył, — bo Chrzan go obwinił o współnictwo i dzięki tylko swej energicznej wymowie, wielkim po-darkom, które ofiarował sędziom, a głównie dzięki ogólnej obojętności dla spraw, które z przyszlą wojną żadnego nie miały związku, zdołał ująć śmierci. A wszystko dla tej Hanzy, która go dziś kopnęła nogą, jak niepotrzebny sprzęt, oddając całą władzę w ręce nędznych kreatur — jak Detmold.

Na domiar udręczenia zjechała komisja z pa-nów radców z Bremy i jąła nicować wszystkie jego czynności.

Poczęto wglądać w jego sprawy domowe, niemal w najskrytsze komórki serca.

Obwiniano nawet o współnictwo z Pater-no-ster-macherem.

Dumny Niemiec zgrzytał zębami, gdy mu-siał kornie schylać głowę przed swoim niegdyś sekretarzem.

Ale taki był przeklęty porządek w Hanzie. Ze szczytu sławy i dostojeństw strącała ona

nieraz wyniosłych a oddawała władzę w ręce najmniejszych.

Trzeba było nieraz lata całe czekać a wreszcie spełnić jakieś coup d'état, żeby się znów wdrapać na wyżynę, z której cię zepchnięto.

Szpiegostwo stało na wysokiej stopie.

Każdy prawie z dostojników Hanzy, z akcjonariuszów, wyrażając się po dzisiejszemu, czyli wspólników, musiał mieć swego agenta, który mu donosił o wszystkim.

Miał go i pan Bonar gdzieś tam przy wielkim ołtarzu w Bremie, czy w Lubece, i czekał tylko sposobności, aby znenawidzonego Detmolda pogrążyć w przepaść.

Walka o byt — to stara jak świat historia!

Schował więc pychę i pazury pan Bonar głęboko, pełnił służbę z całą pokorą tak, że zdumiewał starego lisa Detmolda, a nawet nabaśniał go czasami przest్రachem.

O kobiecie, którą kochał i synu swoim, zdaje się, że zapomniał całkiem.

Był to związek, który go skompromitował straszliwie i jemu głównie zawdzięczał swój upadek.

Wyrażał się głośno wobec wszystkich, że gdyby jedna żyłka w jego ciele tętniła dawnem przywiązaniem, wyrwałby ją z ciała. Hanzie nie wolno kochać nikogo i nigdy — prócz Związku.

Jednak baczne oko byłoby wysłodziło dużo zmian w postaci pana Oldermana. Wychudł i postarzał się. Oczy, niegdyś piękne, utraciły dawny blask i zyskały sine obwódki. Widywano go nieraz w ciemnym kącie kościoła leżącego krzyżem, a stary kot Hanzy, Luder, słyszał po nocach wielkie szlochanie w jego komnacie.

Jednak w obowiązkach swych był czynny i sprężysty, a wpadał w taki gniew wielki o byle przekroczenie, że położył trupem jednego z czeladników, który mu się stawił hardo.

Bano go się i unikano starannie.

Tymczasem matka z synem nowe rozpoczęli życie.

Kobietę miłość macierzyńska uszlachetniła i odrodziła.

Dziś zaczęła błogosławić to nieszczęście, które jej takie szczęście przyniosło.

Dla człowieka, którego kochała tak, że dlań rzuciła dom rodzicielski i lat tyle była mu niewolnicą, a którego bała się zawsze, nie mogąc przeniknąć, — dziś uczuwała obojętność. Nie dawał on jej nigdy całego serca, ale jakiś okruch tylko. Stała między niemi zawsze, niby ściana, różnica pochodzenia, obyczaju, wierzeń. Poddawała się wprawdzie jego rozumowaniu, bo czuła w nim umysłową potęgę, ale wracała zawsze do kącika swych skrytych ale najdroższych wspomnień rodzinnych, a te wzmacniały i utrwalały się z laty.

To też, gdy jej wrócono syna, a ten syn tak czuł i myślał, jak, ona skrycie i nieśmiało nieraz myśleć się odważyła, doznała najwyższej radości, ale, nie mając sił tyle, aby te kajdany zerwać, pozostała w nich i nadal, tylko już inną, uszlachetnioną, wielką miłością dziecka.

Przekłète klejnoty pomogły oswobodzić się kobiecie.

Teraz chodziło o to, aby zapukać do serca starego ojca.

Przyjął ci już wnuka, ale czy przyjmie córkę?

On ją przeklął i wyparł się jej dawno, a przekleństwo rodzica spełnić się musi rychlej czy później. Nie cofnąć tego, co w chwili bólu i rozpaczy wyrzuciła z siebie pierś ojcowska.

Wszelkie więc starania obili się, jak o mur, o starego Ziembę.

Wnuka przyjmował, bo mu chłopak przypadł do serca, uznawał go niewinnym zbrodni matki; o córce wiedzieć nie chciał.

Rudolf już rzucił hanzeatycki swój urząd i oddał się cały na usługi Wierzyńkom, których handel zakwitł na nowo potężnie.

Pewnego dnia młody Rudolf padł do nóg Wawrzyńcowi Wierzyńkowi, ucałował jego rękę i prosił o Elżbietę.

Stary udał zrazu obrażonego, potem podniósł chłopca i z dobrocią pogładził go po twarzy.

— Jeszcze czas na to; poczekaj.

Elżbiecie dziewczębił stryj Mikołaj.

Gdy Rudolf poszedł prosić starego o Elżbietę, stryj stał z nią pode drzwiami i wszedł z dziewczyną właśnie w porę, aby zaprotestować przeciw zwłoce.

— Daj mu ją, bracie! Poco odkładać? Zwiąż to piękne młode kwiecie, niech nie więdną i nie usychają w żałobie.

— A ty, Elżbieto? — spytał ojciec.

— Mnie trapią sny męczące. Widzę ciągle, jak mi go wydzierają jacyś ludzie niedobrzy. Gdy go już będę miała, to i snów się pozbędę.

Stary ich pobłogosławił i zaprosił na ucztę przyjaciół.

Między zaproszonymi znalazł się Ziemba.

I tu dopiero odbyła się scena pojednania go z córką.

Młoda para klęka przed dziadkiem, objęła jego nogi i rzewnymi łzami poczęła prosić za matką.

Starzec był nieugięty zrazu, ale gdy mu powiedzieli, że do ślubu nie staną, kazał córkę przywołać i rzekł:

— Oby się nie spełniło przekleństwo moje nad tobą! Jeżeli w mocy bożej ci przebaczyć, toć i ja przebaczam, ale progu domu mego przestąpić nie możesz.

Etyka średniowieczna znała tylko marnotrawnego syna.

XXVI.

WSZYSTKIE KOTY SZARE W NOCY.

Gdy Folchard przyszedł do przytomności, uczuł, że ma złamaną nogę.

Ból straszny, który go szarpał, wydobyl mu z piersi jęki boleści, ale któż je mógł usłyszeć w tej otchłani!

Nie wiedział, jak długo leżał w tym dole, i nie miał pojęcia o jego głębokości.

Zebrał wreszcie ostatek sił i począł głośno modlitwę, żebrząc u Boga miłosierdzia.

W przestankach przysłuchiwał się bacznie, czy jakie zbłąkane echa ludzkiego głosu nie odbijają się o tę złowrogą jaskinię. Nic.

Tego rodzaju piwnice budowano prawie pod każdym domem; w niektórych bywały nawet dalekie przejścia podziemne. Służyły one na schronienie podczas napadu nieprzyjaciela. W nich chowano to wszystko, co miano do scho-

wania. Labirynt tych krętych podziemnych ulic bywał nieraz niezbadany.

Gdyby nie noga złamana Folcharda i upadek sił, mógłby on długo wędrować temi podziemnymi ulicami, — zmuszony jednak leżeć w miejscu, jękiem tylko bolesnym, modlitwą, a wkońcu krzykiem rozpacznym wołał ratunku.

I usłyszano go wreszcie, bo zobaczył światło ponad sobą i głos z góry go doleciał:

— Ktoś ty?

— Ratujcie mnie, ludzie, a wszystko wam opowiem.

Spuszczono długą drabinę i słudzy miejscy zeszli po niej, aby wynieść znowu umierającego prawie Folcharda.

Dziwny widok przedstawił się jego zdumionym oczom.

Całe podwórze zavalone było ludem.

Przy studni stał wójt z ławnikami, gdzie leżały również dwa ciała, w których Folchard poznał Ludera (cichego sługę Hanzy, podobnego do kota, i Wachmana Froscha.

Luder był trupem, Wachman ciężko ranny.

Więc to on zabił Ludera i ranił Wachmana? a tamten trzeci, który go rzucił do przepaści, był kuternoga!

Jego tu niema, umknął, a ciosy, które mu się należały, otrzymali Luder i Wachman.

Ale co oni tam robili w piwnicy z tym fałszerzem?

Te myśli Folcharda przerwał ławnik zapytaniem:

— Ktoś jest, człowieku, i jakim sposobem się tam dostałeś?

— Szukałem złoczyńcy i fałszerza, Justusa Knabego.

— Tu, w tym pustym domu?

— Tak, w tym pustym domu, panie prze-mądry ławniku! Gdyby rozum waszmości nie uciekł był do brzucha, to byłbyś zajrzał tu choćby z prostej ciekawości, ale złodzieje i rozbójnicy znają jego gorliwość i pod okiem świętej sprawiedliwości drwią z was w żywe oczy!

— Co mówisz, zuchwały?

— To Hanzeata!

— Folchard, Hanzeata! — odezwały się głosy.

Zwyczajem było Hanzeatów wyrażać się z całym cynizmem i urąganiem o władzy miejskiej, należało to prawie do powinności.

— A pocóżemy go wyciągnęli z tego lochu! — odezwał się wójt, który nie chciał być dłużnym w grzeczności Hanzeacie. — Niechby tam zgnił bestja!

— Jeżeli chcecie, abym wam odpowiadał i był dla was grzeczniejszy, to opatrzcie moja nogę. Ból mię szarpie wściekły!

Znalazł się i cyrulik, który zestawił i obandażował nogę Folcharda.

— Jeżeli możesz, to mów: co to za ludzie i kto ich tak tu poczęstował?

— Jam to zabił jednego, a drugiego raniłem w ciemności, biorąc ich za stróżów waszego więzienia, którzy uciekli razem z Justusem; chciałem jednym zamachem zgładzić złoczyńców, bom poprzysiągł zemstę za mego brata Otberta — tymczasem zabiłem oto sługę Hanzy i tego psa raniłem, który na torturach wyspie-

wać musi wszystko. Gdym chciał pochwycić trzeciego, zepchnął mnie do głębokiej piwnicy.

— To sprawa znów tej przeklętej Hanzy! — rzekł wójt. — Niechże ona się z nimi załatwi, dla nas tu nie miejsce.

I wykonawca sprawiedliwości miejskiej usunął się wraz z ławnikami, a za nimi podążyło pospólstwo, złorzecząc Hanzie.

Gdy cała ciżba opuściła podwórze, powlókł się Folchard ku rannemu Wachmanowi.

Miał on zgruchotane ramię i głęboką ranę w głowie.

— Nędzniku! — wrzasnął mu w ucho Folchard — więc i ty należałeś do współki z tym zbrodniarzem! ty, stróż porządku i wierny sługa Hanzy?

— Wciągnął mnie zdradliwie, tak jak i twojego Otberta. Owiń mi głowę mokrą szmatą, jeżeli chcesz, abym z tobą rozmawiał.

Folchard zanurzył w wiadrze chustkę i owinął mu głowę.

— Nie gub mnie, Folchardzie! dosyć, żeś mnie okaleczył na całe życie, bo rękę mi odjąć będą musieli. Posłuchaj. Stałem na warcie, gdy ten nędznik przemknął mi się pod samym nosem. Pochwyciłem go i chciałem oddać sędziom. „Chcesz być bogatym?” pyta mnie. Któżby nie chciał? — „Co ci po mojem życiu, za które nie weźmiesz złamanego szeląga. Chodź ze mną, wyładuję ci kieszenie złotem”. I poszedłem. I widziałem, jak ten nędznik w oczach moich fabrykował polskie, czeskie i niemieckie pieniądze, które ludzie brali za dobrą monetę. Jednej nocy spotkałem tam Ludera, którego także wciągnął.

— Cóż się stało ze stróżami więziennymi, którzy z nim razem uciekli, za których ja was wzięłem ?

— O tych ja nie wiem. Słuchaj, Folchardzie, nie gub mnie! Ten nędznik, uciekając musiał zostawić zakopane duże pieniądze, o których ja wiem. Podzielimy się. Wskażę ci nawet miejsce, gdzie go znaleźć możesz. Przysięgnij mi, a powiem ci, Folchardzie, przysięgnij!

Ale, zanim Folchard się zdecydował, stanął na podwórku Olderman, otoczony silną strażą łuczników, wraz z Detmoldem.

— Oto wasz wierny sługa, Luder, a to Wachman Frosch, a ten znów Folchard! — rzekł Olderman ironicznym tonem do Detmolda. Z kimże to oni staczali tę walkę? Luder zabity, Frosch ledwie żywy, a Folchard prawie umierający. Nieście ich żywych i martwych do sali posiedzeń i otoczcie strażą, a my przetrząsnijmy ten dom zbrodniczy.

Detmold uśmiechnął się:

— Nie powiedziałbyś tego o nim przed dwoma miesiącami.

— Czem byłem, już nie jestem.

— Zobaczymy.

Rzucił przytem tak przeszywającym wzrokiem na Bonara, a tyle w nim było piekielnej ironji i ukrytej radości, że ten zadrżał.

WESELE

— O jakaż piękna ta para! — woła zachwycony tłum, towarzyszący orszakowi ślubnemu Rudolfa i Elżbiety.

Panna młoda, według ówczesnego zwyczaju, w wysokiej koronie, której słońce używa blaszków, strzelając światłem w drogie kamienie, podobna do jakiegoś cudownego kwiatu. Rozpuszczone złote włosy jej warkocza igrają z wietrzykiem i spadają kaskadą na różowe ramiona. Na twarzy rumieniec szczęścia, a uśmiech krasuje jej karminowe usteczka.

Prowadzi ją grono dziewcząt.

Za nimi postępuje Rudolf, przybrany w pyszne suknie włoskiego kroju. Zda się, urósł i zmężniał i wypiękniał.

W jego postaci kojarzą się i łączą tak harmonijne dwa typy: szczerłość i prostoduszność słowiańska z silną budową i zuchwałością germańską.

I jemu towarzyszy drużyna dorodnych i strojnych młodzieńców.

Dalej idą rodzice, stryjowie, stryjenki, krewni, przyjaciele.

Co za przepych! co za stroje!

Godowa szata średniowiecznego mieszczaństwa, to jego dobytek, to herb, to duma, to wszystko.

Jak rycerz, wyjeżdżający w turniejowe szranki, przywdziewał najkosztowniejsze zbroje i zdobił ją w tuniki, przetykane złotem i płaszcze szkarłatne, ubierane drogiemi kamieniami.

mi, i one pasy rycerskie, dla których zastawiał fortuny całe; — tak mieszczanin ubierał się na gody.

Cóż to za barwy, jakie pióra i klejnoty! a wszystko to lśni się, rzuca się do oczu, krzyczy — tak jak krzyczy na obrazach Matejki.

Śpiew, śmiech, gwar towarzyszył orszakowi z kościoła do domu.

Sowizdrzał z całą zgrają wesółków rozpoczął pochód, dzwoniąc w dzwonki i błyskając zwierciadłem. Na głowie siedziała mu sowa jako godło.

Ten błazen jest potrójnie dumny i szczęśliwy — bo i cóż to on zrobił?

Rozdmuchał drzemiacą iskrę polskiego ducha w sercu chłopaka. Wprowadził go w świat polski i pogodził z dziadem; skąd znów dostał się do domu Wierzyńków, gdzie znalazł taką oto lilijkę i gdzie wkońcu przyjęto matkę.

To też trefniś krzyczy na całe gardło, że jest starostą dzisiejszej uroczystości i że od niego muszą wychodzić rozkazy, co do urzędnienia i porządku całej zabawy.

Starzy i młodzi przyzwalają z ochotą i z po-błazaniem, boć go znają i wiedzą, co potrafi — i już naprzód cieszą się z mnóstwa figlów, jakie płatać będzie.

I oto staje już orszak pod domem, gdzie się ma odbyć wesele.

Wtem: — Stójcie! — jakiś głos gromko woła.

Na ganku ukazuje się straszliwa postać masekarska o rysach ponurych; z oczu jej sączą się łzy. Ubrana ona w czarny strój. Na głowie ma wieniec z nieśmiertelników, kwiatu smutku, —

wyobraża też ona smutek. Zagroziła gościom drogę i nie wpuszcza ich w progi — i tu się rozpoczyna djalog.

Jeden z orszaku wysuwa się przed maskarę i przemawia:

— Skądżeś się tu wzięła w tym dniu szczęścia i wesela?

— Jestem tu i zostanę na utrapienie wasze — odpowiada potwór. — Możecie mnie wypędzić, ale ja wślizgnę się szczeliną, szparką. Znajdziecie mnie na spodzie każdego kieliszka, na dnie talerza, znajdziecie po tańcu, wśród rozmowy, wszędzie!

— I czemże cię przebłagać można?

— Niech tu wystąpi pan młody.

— Czego żądasz?

— Tego, o czym ty nie wiesz, czego się nie spodziewasz, a czego mi dać nie możesz.

— Więc zgiń, maro, i nie zagradzaj nam drogi!

Ale mara zda się rosnać i grozić i nie ustępuje.

Wtedy wysuwa się Sowizdrzał.

— Jam Radość i Ochota! — mówi i jednym uderzeniem łaski przemienia ją w śmiejącą się i tańczącą zalotnicę, która uprzejmie gości zaprasza i łączy się z orszakiem.

Idą — aż tu wychodzi druga, chuda, wysoka, jest ona uosobieniem Głodu i Postu, a naraz zostaje przemieniona w tłustego brzuchałę, dźwigającego na rożnie pieczone ciele. — Trzecia była Sknerstwem i stała się rozrzutnikiem. — Czwarta Kalectwem, a przemieniła się w tancznicę.

Gdy już te plagi wypędzono, zjawia się rój

tłustych czerwonych dzieciaków ze skrzydełkami i ściele drogę kwieciami państwu młodemu z całym weselnym orszakiem.

Te dialogi i misterja odbywają się i przed ucztą i w czasie uczty i po uczcie. Przeplatana niemi zabawa. To teatr średniowieczny. Wśród rubasznych żartów, wśród wesołości niepomowanej, kryła się zawsze jakaś moralna sentencja.

Oto już zasiedli za godowym stołem.

Państwo młodzi we środku.

Rudolf ma z jednej strony matkę, tak jak przy pannie młodej, siedzi ojciec.

Wszystko wesołe, prócz jednej Agaty.

Ona jedna jakby zabrała z sobą część tego smutku, co im zagroził drogę. W uszach jej brzmią złowrogie słowa maskary: „Żądam tego, o czym nie wiesz, czego się nie spodziewasz, a czego mi dać nie możesz”.

Potem myśli o tym ojcu, który ich tak zapomniiał okrutnie. Może nie wie nawet o ślubie syna, chociaż go zawiadomiła.

Stary Ziemia siedzi naprzeciw nich i patrzy w tę młodą parę z lubością, a kiedy okiem rzuci na córkę, tę smutną taką, dreszcz jakgdyby go przechodzi i w sercu coś zakłuje — bo on wie dobrze, skąd ten jej smutek. Ale to rzeczy zapomniane i przepłakane już dawno! Jakie sobie życie zgotowała, takie ma. Wszak przebaczył z głębi duszy... ale wprzód... przeklął, pod brzemieniem bólu i rozpaczy, jaki mu zadała. Nie taką to on przyszłość wróżył sobie w tej córce. A dziś? Ot co za dziwna anomalja. Córkę przeklął, zięcia nie-zięcia nienawidzi i pogardza nim. Uwodziciela przeklina, a wnuka

pokochał całym sercem. A kto wytwarza te dziwne rzeczy? Niemcy! och, Niemcy! oni źródłem wszystkiego złego. Niech tam Bóg łaskawy ich pokarze, a od nas odwróci wszystko złe... At! pijmy i bawmy się!

I zabawa wre i kipi, bo wino rozgrzało czupryny... a zabawa to, do której rysów jeżeli weźmiemy z fraszek Kochanowskiego, to one nam się wydadzą już zmodyfikowane i uszlachetnione, bo je dzieli półtorawiekowa przestrzeń od doby powieści.

Gości przybywa coraz więcej, a niektórzy w maskach. Co zacz i skąd? nikt ich nie pyta, bo gościnny dom Wierzyńków otwarty dziś dla wszystkich. A im ich więcej, im ciasniej w izbach, tem więcej rośnie serce gospodarza — boć to honor dlań wielki.

Nareszcie zebrało ich się tyle, że izba poczęła być za ciasną. Oddychać w niej nie można.

Zamaskowani otoczyli pana młodego ściszniętem kołem, i zdają się uprowadzać z sobą ku drzwiom. Rudolf się wyrывa i krzykiem wzywa pomocy, ale milknie wkrótce.

Tego krzyku nikt nie usłyszał w tumultie.

Zamaskowani, jak przyszli, tak poszli; w izbie się przeredziło, tylko pan młody gdzieś zniknął i odszukać go daremnie się siłą.

SYN I OJCIEC.

S kromny niegdys sekretarz krakowskiej Hanz-y, Detmold Szwarbach, dziś jej radca i prawa ręka, obdarzony wielkiem zaufaniem, był dnia tego bardzo ożywiony i uradowany.

Radość jego objawiała się w ten sposób, że szczypał wszystkich po policzkach, częstował kułakami, gryzł sobie paznokcie i podskakiwał i uderzał hołubca, słowem wychodził ze zwykłej swej skóry ślimaczej.

Wszyscy, co go znali oddawna, zapewniali, że nigdy go takim nie widzieli i że to niechybnie oznacza splatanie komuś wielkiego figla, bo pamiętają, że ile razy komu dokuczył, zawsze ogryzał palce, a głos jego stawał się wtenczas piskliwym, wargi mu drgały, a oczy świeciły, jak u hjeny.

Słowem, czy z tej, czy z innej przyczyny, pan radca Detmold był wesoły.

Nie zdarzyło się wprawdzie w Hanzie nic nadzwyczajnego. Wachman, wzięty na tortury, zaraz przy pierwszym pociągnięciu wyzionął ducha i nie powiedział nic o kuternodze, który przepadł, jak kamień w wodę, a Folchard wciąż jeszcze utykał na złamaną nogę, pielęgnowany i zaszczycony wielką łaską pana radcy Detmolda.

Pan Olderman von Bonar pełnił ściśle owe obowiązki, zdwajając energję, aby zatrzeć poprzednie wykroczenia.

Czujne jego oko wglądało we wszystkie

sprawy. Kładł się ostatni, pierwszy wstawał, a niekiedy całkiem nie spał. Zdawało się, że mysz przesunąć się nie może, aby jej nie zobaczył, a przecież mimo wszystko, dokonano w Hanzie czynu, o którym on nie wiedział wcale.

Oto dzisiejszej nocy przywieziono do Su-kiennic człowieka z zakneblowanymi ustami, związanego i uwięziono go w lochu.

Człowiek ten był wielkim przestępcą i miał się odbyć nad nim sąd, w którym miał wziąć udział pan Olderman.

Człowiekiem tym był — Rudolf.

Cóż on przewinił?

Będąc Hanzeatą, śmiał poślubić córkę mieszczanina krakowskiego, Wierzyńka, i przejść w służbę wrogów Hanzy.

Znaczyło to: zdradę stanu.

Czekała go za to śmierć.

Wiedziano o każdym jego kroku, ale mu nie przeszkadzano wcale, bo chciano Oldermanowi urządzić miłą niespodziankę.

Ale Olderman wiedział o ślubie syna, bo nie wiedzieć o nim nie mógł.

Nie wstrzymał go, nie przeszkodził mu, bo chciał wytrwać w charakterze obojętnego na te sprawy człowieka, a potędze polskiego mieszczństwa ufał tyle, że go sobie wydrzeć nie dadzą.

Nie wiedział tylko, że to z Detmoldem sprawa i że ten lis, który szpiegów swoich miał wszędzie, zbadawszy skrycie stosunki i skłonności młodego chłopca, osnuł plan piekielnej zemsty, i jeżeli im pomoc nie mógł, to im nie

przeszkadzał, nakazując o tej sprawie swoim służalcom grobowe milczenie.

Na żądanie Rudolfa udzielono mu na piśmie uwolnienia od obowiązków, ale wsunięto tam wyraz „tymczasowo”, który dwuznacznie można było tłumaczyć.

Nie troszczył się też o to Rudolf, — bo i któżby się troszczył, mając lat dwadzieścia i tak kochając, jak on! Nie troszczyli się Wierzyńkowie, kontenci owszem, że w zięciu znajdują tak wyćwiczonego w handlu człowieka, ale troszczył się o to Detmold.

Dotknąć tego pysznego człowieka w jego najboleńszą stronę. Kazać ojcu być sędzią własnego syna, zemścić się na kobiecie, która nim pogardziła, toż to uczta dla krwiżerczego sępa!

Teraz już wiemy, dlaczego nie posiadał się z radości.

Pod jego to prezydencją, w cichości zebrała się rada w głównej sali Sukiennic, a gdy już cały komplet zasiadł swoje krzesła, wezwano pana Oldermana von Bonara.

Zdziwiony i nachmurzony, zajął swoje miejsce; spojrzął po tłumie spokojnych i obojętnych radców, popatrzał na Detmolda, — ale ten, schylony nad papierem, wcale nie podniósł głowy, dopiero po paru minutach powstał spokojny i zagaił posiedzenie:

— Panowie Rada! Mamy dziś sądzić przestępstwo, które, pomimo srogiej kary, przecież nie rzadko się spełnia w kadrach członków prześwietnej Hanzy. Niedawno oto stał się fakt podobny w Bergenie, a dwa lata temu, któż go nie pamięta, w Lubece. Był taki i w Nowogrodzie,

a było aż trzy w Gdańsku. Dziś stał się w Krakowie. Jeden z członków poślubił dziewczynę tutejszych mieszczan. Cóż go za to czeka według praw naszych?

— Śmierć! — rzekli jednogłośnie.

Olderman drgnął.

Złe przecucie szepnęło mu odrazu, że to był Rudolf, — ale po chwili potłumił je w sobie i uśmiechnął się zlekka, bo był przekonany, że Rudolf jest bezpieczny.

Detmold go z oka nie spuszczał.

— Rzekliście: śmierć. Wprowadźcie przestępcę! — rzekł do pacholków.

Olderman pobladł i bystro spojrzął w twarz Detmolda, na której zobaczył piekielny uśmiech.

Zrozumiał wszystko.

Wprowadzono Rudolfa.

Młodzieniec w ślubnym, bogatym stroju, jak go porwano od uczty, był pod wpływem niby zmory sennej, ale, gdy ujrzał dostojne grono radców, a między nimi tego, który jest ojcem jego, nabrał odwagi i zapytał:

— Co to ma znaczyć, że mnie porwano, jak winowajcę, z domu mojego teścia? Czego chcą ode mnie?

— Będziesz odpowiadał, jak cię zapytają — rzekł surowo Detmold.

— Pytajcie!

— Rudolfie, popełniłeś zbrodnię małżeństwa, zakazaną w naszym związku.

— Jam do związku już nie należał. Wszakże mam wasze uwolnienie?

— Czasowe. Czyś wiedział o tem, że my uwalniać takich, jak ty, wychowañców Hanzy, nie możemy, bez zezwolenia sejmu?

— O tem nie wiedziałem.

— To źle, powinieneś wiedzieć, gdyś miał zamiar przedsięwziąć tak ważną sprawę. Prócz tego działałeś zawsze wbrew przepisom. Nie łączyłeś się nigdy z gospodą, ale przestawaleś z wrogami Hanzy i dziś wszedłeś w ich dom, poślubiłeś ich córkę, wnosząc tam naukę i doświadczenie handlowe, które Hanzie zawdzięczasz. Co masz na swoją obronę?

— Nic. To jest wszystko prawdą. Spytajcie wyższych potęg, które mnie takim stworzyły a nie innym. Tam się urodził i tam chował do lat dziesięciu. Nie miałem ojca, alem kochał matkę moją i od dzieciństwa mówiłem mową, którą i ona mówiła. Gdy się mną zaopiekowano i wysłano do Hanzy, byłem dzieckiem; tam nauczono mnie mówić waszą mową i czynić wszystko waszym porządkiem... i czyniłem i stałem się waszym człowiekiem... I byłbym nim został zapewne na zawsze, choć tęsknota wielka ciągnęła mnie do swoich. Szczęście, czy nieszczęście moje chciało, że ta sama dłoń opiekuńcza przywiodła mnie tutaj, abym zobaczył to, za czem tęskniłem tak dawno, abym usłyszał ten język, który mi ciągle rozkosznie brzmiał w uszach. Nie mogąc być tem, czemeście mnie zrobić chcieli, zostałem sobą. Oto moja wina cała.

Detmold był widocznie niekontent z tego obrotu sprawy, bo przygryzł wargi.

Olderman bladej milczał, a panowie Rady oburzeni byli tą dziwną stałością i uporem, którą nazwali jednomyślnie slavische Dumheit.

— Kto był twoim opiekunem? — zapytał Detmold.

— Cóż to za pytanie? Alboż o tem nie wiecie wszyscy? Był obecny tu pan Olderman von Bonar.

Ta prostota otwartość, nieulekła i szlachetna postawa mieszały szanownego indagatora. Postanowił więc odrazu uderzyć w jądro rzeczy.

— Gotuj się na śmierć! — rzekł.

— Człowiek sprawiedliwy i uczciwy jest na nią przygotowany zawsze! — odparł nieustraszony Rudolf, — ale tej kary nie dozwoli wam spełnić...

— Kto? — przerwał Detmold.

— Sumienie.

— Tu niema sumienia; tu są ustawy! — rzekł gniewnie. — Prowadźcie go!

— Stójcie! — zerwał się Olderman.

Na to oczekiwał Detmold.

— Ten młodzieniec jest krwią moją, jest moim synem, i włos z głowy zdjąć mu nie dam!

— Co mówisz, Oldermanie? — rzekł szyderczo Detmold.

— Milcz, podły gadzie, jeżeli nie chcesz, abym ten pułgał aż po rękę do gardła ci wpakował! Tyś tu urządził sobie widowisko, aby się napawać boleścią moją! Prawda, byłem tyle głupi, że się wyparłem najdroższych uczuć serca dla was, szatani, i za tom skarany zostałem. Ależ przez Boga! jeżeli myślicie, że ztraćę w sobie poczucie ludzkie i dam choćby palec zadrasnąć temu dziecku, toście głupcy!

Porwał się z taką siłą, że stół rzucił radcom na głowy. Potem w jednej chwili przystąpił do Rudolfa, wyrwał go pachołkom i, dając mu broń w rękę, krzyknął:

— Bierz! i brońmy naszego życia.

— O mój ojczel — krzyknął Rudolf takim głosem, że kamienie Sukiennic by rozrzewnił, ale nie tych ludzi.

— Chwytać! wiązać! — wołał Detmold.

— Precz! bo trupów tu góry ślać będziemy.

I porwał wściekły tych, co mu się nawinęli, i uderzył nimi o twarde kamienie posadzki — i wybiegł z Rudolfem z sali.

Gdy zbiegli na dół, znaleźli wszystkie drzwi od ulicy zamknięte, tylko przez kraty zobaczyli na ulicach tłumy ludzi z wrzaskiem okrutnym zbliżających się do Sukiennic.

— To nasi obrońcy! — rzekł Olderman.

— Nasil o mój ojczel, mój drogi ojczel — rzekł młodzian, rzucając mu się do nóg i oblewając je łzami.

— O mój synu, jakżem ja pragnął tego okrzyku i tego uścisku! Niech Pan Bóg będzie pochwalony, że mi tę chwilę zgotował! Teraz... do walki!

— Do walki!

XXIX.

WALKA.

Choć prędko spostrzeżono zniknięcie Rudolfa, nie prędko jednak zabrano się do odsieczy.

Odgadniono, że to Hanza, a na Hanzę nie można pójść z próżnymi rękami.

Trzeba było wrócić do domów, przywdziać inne suknie i uzbroić się.

Tymczasem błysnął dzień i kawał go już

było na niebie, gdy cała kawalkata gości i wszelkiego rodzaju adherentów Wierzyneków stanęła przed Sukiennicami.

Zastęp coraz się powiększał, krzyczano i zwoływano na wszystkie strony, aby, kto w Boga wierzy, śpieszył na pomoc przeciw zdrazieckim Hanzeatom, co uprowadzili zięcia Wierzynekowi.

Poważny zastęp uzbrojonego mieszczaństwa, kipiącego zemstą i wściekłością na Niemców, otoczył Sukiennice i jęli walić do bram i furt, grożąc zburzeniem, jeżeli im jeńca nie wydadzą.

Detmold przewidział napad i zabezpieczył się w porę.

Ciekawą była taka wojna w mieście w owych czasach.

W chwili, gdy jedni dobywali wszystkich sił i padali w boju, drudzy się obojętnie przypatrywali.

Ratusz i całe stronnictwo Hanzy nie brało wcale udziału w tej walce — byli neutralni.

Walki takie na ulicach bywały dosyć częste.

Biły się cechy z sobą.

Bili się mnichy.

Biło się miasto z zamkiem.

Biły się wszelkie korporacje i narodowości.

Dziś przyszła kolej na Hanzę i polskie mieszczaństwo.

Gdy nienawiść dojrzała, czekano lada okazji, aby obustronnie chwycić za broń — a cóż dopiero, gdy srogi gwałt i hańba oburzyły do żywego, jak w obecnym razie.

Zanosilo się na poważną rozprawę.

Było wielką przewagą dla stronnictwa, jeżeli miało za sobą kościół.

Tu kościół oświadczył się za mieszczanstwem.

Uderzono we wszystkie dzwony i wysłano od Panny Marii wikarego, aby przemówił do Hanzeatów.

Odprawiono postą z szyderstwem.

Zgorszenie i oburzenie doszło do zenitu.

Posypał się grad kamieni w okna i zabręczały szyby.

Było to jednak ukąszenie komara.

Kto za murem i rygłem, ten się śmiał i urągał oblegającym.

Kończyło się nieraz na tem tylko, że sobie nawymyślano wzajemnie.

A nawymyślać musiano.

Walka na języki była tak dobrą, jak na pięści.

Co na wątrobie, należało wypluć.

Grube takie słowo lub przekleństwo zagrzewało do walki, niby tony gromkiej bojowej kapeli.

— Hola, psy parszywe! Hola, złodzieje i lupieżcy!

— Djabły niemieckie! pamiętajcie, że za jeden włosk Rudolfa jelita z was ciągnąć będzie, aż do ostatniej kiszki!

— Bębny porobimy z waszych skór!

— Upiec tych łajdaków, upiec, jak wieprzel!

— Głupiś! a nie wiesz to, że niemieckiego ścierwa i pies nie chwyci, boby się otruł? spalić na węgiel gałganów!

Zapalono smołne łuczywa i jęto je ciskać przez otwory do wnętrza. Ale tu zaproteutował ratusz dotąd milczący, wysławszy uzbrojonych ceklarzy i wzbraniając surowo pożaru.

Hanza nie dawała żadnej oznaki życia. Zda-
wało się, że, zajęta swymi interesami, nie zwraca
wcale uwagi na to mrowisko ludu, co ją
obsiadło.

Doprowadziło to do wściekłości oblegają-
cych.

Wtem od strony ulicy Szewskiej rozległ się
głośny okrzyk: — Hura!

Wszystko, co żyło, poczęło się cisnąć w to
miejsce.

Udało się wyważyć jedne drzwi, ukryte we
wglębieniu, dalej wązki korytarz... Miejsce to
wskazała im pani Agata, która blada, zrozpa-
czona płaczem i prośbą, wołała o ratunek dla
syna.

Nikt tam jednakże wejść nie śmiał. Matka
się nie ulękała.

Ona знаła ten korytarz i wiedziała, gdzie
prowadzi.

Po kamiennych schodkach dostała się na
górze.

Nie spotkała żywej duszy.

Była to obszerna izba, zavalona towarami
rozmaitego rodzaju. Skierowała się ku jednym
drzwiom, były zamknięte. Prowadziły one do
wielkiej sali; zajrzała otworem w zamku i zo-
baczyła mnóstwo ludzi pracujących nad ja-
kimś ciężkim przedmiotem, aby go umieścić
w oknie. — Robotą dyrygował Detmold.

Skierowała się ku drzwiom drugim, które
otwarły się z łatwością.

Była w kantorze. I tu żywej duszy. Z kan-
toru skierowała się ku drzwiom, gdzie było
mieszkanie jej kochanka.

Uderzyły ją jęki rozpaczne.

Poznała je, to on, Olderman!
Drzwi były wywalone, jakby przemocą.
Weszła, zobaczyła go klęczącego nad zwłokami syna.

— Zamordowali nam dziecko, Agato!
Kobieta wydała krzyk straszliwy i padła przy trupie syna.

Tymczasem na rynku zawrzało i zahuczało z tysiąca piersi.

Oto od ulicy Grodzkiej zbliżał się Wawrzyniec Wierzynek w towarzystwie pancernych i wioził z sobą maszyny oblężnicze.

Wawel szedł w pomoc mieszczaństwu przeciw Hanzie.

Zamierzano się nie żartem do gruchotania Kazimierzowskich Sukiennic.

I kto wie, na czemby się skończyło, możebyśmy ich nie mieli dzisiaj, lecz nieprzewidziana okoliczność zmusiła mieszczan do odwrotu.

Ów przedmiot, który widziała pani Agata przez otwór w zamku, został nareszcie umieszczony w oknie sali.

Kiedy maszyny zbliżyły się do Sukiennic i chciały rozpocząć taranem kruszenie murów, nieznanym przedmiotem w oknie przemówił — takim gromem, że wszystkie szyby w oknach Krakowa zadrżały a dom kuternogi, w który uderzyła kula, rozpadł się, jakgdyby zbudowany z klepek.

Trwoga opanowała miasto.

Popłoch. Poczęto uciekać i krzyczeć, że Hanza z piekłem zawarła przymierze.

Śmielsi, którzy jeszcze pozostali, usłyszeli z okna te słowa:

— Precz do domów, gałgany, bo was wybijemy do nogi!

Był to głos Folcharda.

Hanza wygrała, ale był to już ostatni triumf.

Machiny oblężnicze i tarany stały jeszcze długo na rynku, — potem je spalono, jako sprzęt niepotrzebny.

Działo zapanowało na świecie i rozpoczęła się nowa era.

XXX.

ZWYCIĘSTWO.

Gwałtowne wstrząśnienie, jakiego dokonał wystrzał armatni, podziało i na kobiety; drgnęła i otworzyła po chwili oczy.

Wzrok jej padł na Oldermana i teraz dopiero zobaczyła krew na jego twarzy, sączącą się z rany na czole. Popatrzyła nań obłąkana, potem na zwłoki syna.

Zdawało się, że w tej chwili w mózgu jej odbywał się jakiś straszliwy przewrót.

Patrzyła tak długo, — wreszcie wybuchła szalonym śmiechem.

— Och, Agato! biedna moja, ukochana! Przyjdź do zmysłów! Patrz na mnie i płacz, płacz razem ze mną naszego dziecka, naszego ukochanego syna. Agato, żono moja! Przysięgam ci na rany Chrystusa Pana, przysięgam ci tu, nad zwłokami dziecka naszego, żem bronię jego życia, że pomszczę się zań, że rzucę to przeklęte gniazdo podłości i żyć już będziemy

razem, jako małżonkowie. Usłysz mnie, Agato biedna!

Kobieta wciąż się śmiała.

Promień słońca padł przez szerokie, otwarte okno i oświecił skrwawione zwłoki Rudolfa.

Kobieta się wzdrygnęła, wydała jęk przeźrażliwy, potem rzuciła się na zwłoki syna i rozplynęła we łzach.

Światło przywróciło jej zmysły.

— Pójdź, ukochana moja, zabierzemy to drogie dla nas ciało i wyjdziemy z tego piekła... na zawsze!

Wyszedł, a za chwil parę wrócił z dwoma żałobnymi braćmi, którzy złożyli ciało na mary.

Olderman, podtrzymując kobietę, szedł za zwłokami syna przez gmach Sukiennic, nie wstrzymany, nie zaczepiony przez nikogo.

Gdy się znaleźli na rynku, zatrzymał się, spojrzął na Sukiennice i wyrzekł:

— Bądźcie przeklęci! Niech pamięć o was zaginie! Niech grom bożego gniewu zmiecie wasz dom, aby i śladu po nim nie zostało.

I obojętny na wszystko, co go otaczało, pociągnął kobietę i szli dalej milczący, nie widząc, nie słysząc, co się dzieje.

Oto obok nich przeleciał na spienionym koniu człowiek, okryty kurzawą i znojem, krzyżując:

— Victorial! Victorial! Pod Grunwaldem! Pod Grunwaldem w Prusiech wielka Victorial!

— Pod Grunwaldem? — powtarzali ludzie, wybiegłszy na ten krzyk z domu. — Co znaczy to nazwisko? Grunwald? Gdzie to? W Prusiech powiada...

A goniec pędzi... aż stanął przed ratuszem.

Wydobył ze skórzanego worka papier i kazał stojącemu woźnemu, aby go oddał burmistrzowi.

Potem popędził na ulicę św. Anny i także papier wręczył rektorowi akademji. Dalej pognął na Wawel.

Tu mu koń odmówił już posłuszeństwa; biedne zwierzę padło wyczerpane, ale goniec — szczęśliwszy od owego Greka z pod Maratonu, co w połowie wyrazu Zwy...cięś...two.. oddał Bogu Ducha,—obleciał wszystkich listami, krzycząc na całe gardło po drodze:

— Grunwald! Zwycięstwo Pobici Niemcy na głowę! Victoria!

Burmistrz, w uroczystem otoczeniu rajców, z heroldem, wychodzi na rynek i czyta list królewski:

„Sławetni i uprzejmie nam mili mieszczanie stołecznego naszego miasta Krakowa! Podobało się Bogu Wszchemocnemu udarować nas wielkiem zwycięstwem pod wsiami Grunwaldem i Tannenbergiem w pruskiej ziemi. Padł wielki mistrz, padł chorąży Konrad. Książęta Kazimierz Oleśnicki i Pomorski w niewoli. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi dało gardło. Chwała Najwyższemu Panu na wysokościach! Władysław król“.

Herold grzmi w trąbę — aż tu i drugi i trzeci i czwarty mu się odzywa.

Radość wielka bucha z wszystkich piersi, dzwony, przed chwilą ponuro dźwięczące, teraz rozkołysane radośnie, śpiewają ze spiżowych gardeł hymn zwycięstwa. Puszczyki i nietoperze pochowały się w nory, a trąby wciąż brzmia. Dźwięk ich oczyszcza powietrze nad zatęchłym od zgnilizny niemieckiej miastem.

Od Grodzkiej z Wawelu wyszła procesja. Celebryje ją biskup krakowski.

Procesja obchodzi miasto, zabierając w siebie po drodze z każdego kościoła mnichów i księży... i rośnie... rośnie!

Cały Kraków na ulicach.

Ci, co pozostali w domach, otworzyli narozcież okna, a w nich powiewają drogie makaty i chorągwie.

Tymczasem zrozpaczeni rodzice z zwłokami syna stanęli przed kościołem św. Florjana, a za nimi i przed nimi grzmi radośnie pieśń zwycięstwa.

— Bóg jest sprawiedliwy! Chwała, chwała Mu na wysokościach! Zwycięstwo!

Pan von Bonar podniósł głowę, spojrział w jasną przestrzeń nieba i wyszeptał wraz z chórem:

— Bóg jest sprawiedliwy! Chwała, chwała Mu na wysokościach!

Któż to bieży w ślubnym stroju z wiankiem na głowie?

To Wierzyńkówna, żona Rudolfa. Ona wciąż czekała jeszcze na swojego oblubieńca, bo tają przed nią jego porwanie. Wreszcie, wywabiona z domu radosną wieścią zwycięstwa, myślała, że się spotka z nim na której z ulic, aż oto litościwi ludzie pokazali jej tu drogę.

Za nią pośpiesza ojciec, dalej stryj „wyklęty”, a potem i stary Ziemba.

Wierzyńkówna patrzyła suchem okiem na zwłoki męża. W tej młodej twarzy czytać można było nienawiść do świata, który na progu jej życia otworzył grób...

Ona też nie wróci już do niego. Klasztor ją zamknie na wieki.

Pochwyciła ten martwy posąg Agata i tuli go w ramiona.

Na Oldermana patrzą z litością starcy, bo czytają z tej twarzy i z tej postawy, ile przecierpieć musiał.

Nie widać w ich obliczach gniewu i nienawiści.

Bonar postąpił ku nim, pochylił kornie głowę.

— Śmierć mego syna przywiodła mnie do upamiętania i żalu za dawne przewiny. Padam w prochu przed wami i proszę o przebaczenie! Nasza pycha nieludzka, niechrześcijańska, kazała mi deptać to, co warte cześci. Ona zamknęła serce moje dla was i zagłuszyła sumienie. Przyszedł czas, Wierzyнку, że się zbudziło w duszy, jakieś przepowiedział. O, czemuż dopiero teraz! Święćcie triumf dzisiaj. Zdeptaliście hydrę przewrotności i fałszu, a ja, niegdyś jej sługa gorliwy, święcę go z wami i z duszy wołam: Niech przepadnie to wszystko, co wzrosło na ciemństwie, grabieży i pogardzie uczuć szlachetnych człowieka, a niech żyje ludzkość, co w waszych sercach mieszka! Bóg jest sprawiedliwy!

— Bóg jest sprawiedliwy! — powtórzył Wierzynek wyklęty, podając rękę Bonarowi.

— Bóg jest sprawiedliwy! — rzekł za nim Ziomba. — Korzmy się przed jego wyrokiem i nie bądźmy odeń surowi. Spełniło się to, co było zapisane w wyrokach. Przebaczam ci... boś cierpiał!

Bonar rzucił się do nóg Ziomby.

Duch Rudolfa uśmiechnął się ponad nimi.

Miasto szalało z radości długo w noc.

A Hanza?... I ona miała swój dzień wesela. Smażyła w oleju kuternogę, którego wreszcie wyszedł mściwy Folchard i... zastąpił dawnego kata.

*

U mogiły Rudolfa, przy św. Florjanie, widziano potem często dwoje ludzi, modlących się gorąco. Byli to: pan Bonar, kupiec krakowski, i jego żona, Agata. Czasem i stary Ziemba się tam zjawił. Wkrótce jednak go nie stało, bo i on poszedł położyć się przy wnuku, — ale zato Bonarowie już nie byli sami, bo im towarzyszyły urodzive dzieci i ród Bonarów rósł w dostatki i sławę w narodzie naszym przez długie wieki.

Hanza wlokła czas jakiś nędzny żywot, aż wreszcie wyrzucono ją z miasta, jako sprzęt niepotrzebny.

KONIEC.



